KS. DR JAN WALCZAK
Z CHRYSTUSEM PRZEZ ŻYCIE
Szkice i myśli religijnych rozważań
Cena z przesyłką 12/6.
Katolicki Ośrodek Wydawniczy „VERITAS"
12, Praed Mews, London, W. 2.

ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

JEŚLI LEKI, TO Z APTEKI
GRABOWSKIEGO
175, DRAYCOTT AVENUE,
LONDON, S.W.3. ENGLAND

ROK VIII. Nr 36/376
LONDYN, 5 WRZEŚNIA 1954 R.

GLOSSATOR

PLEWY I ZIARNO

Przed kilku dniami ukazał się w „Trybunie Ludu" artykuł omawiający braki prasy komunistycznej w Polsce. Autor tego artykułu stawia tej prasie za wzór „Prawdę" moskiewską, jako gazetę „będącą dla całej prasy robotniczej i dla całej postępowej prasy w ogóle źródłem wciąż nowych idej i inspiratorem poszukiwania wciąż nowych metod pracy". Wzór z punktu widzenia przeciętnego czytelnika wątpliwej wartości, gdyż „Prawda" jest niemal tak samo jednostajna i nudna jak „Trybuna Ludu" i inne pisma krajowe.

Jakie wady ma, według autora, prasa w kraju? Jej zadaniem naczelnym jest obecnie „pomaganie w walce o podniesienie rolnictwa i o lepszą pracę przemysłu". Zadania tego prasa nie spełnia, ponieważ cechuje ją powierzchowność a czasem nawet ignorancja w sprawach rolnych oraz niedostateczne wnikanie w zagadnienia gospodarki przemysłowej. Nie wykazuje ona dostatecznej znajomości agronomii, agrotechniki i zootechniki i nie orientuje się w zawiłych stosunkach klasowych na wsi; brak jej rozleglejszych kryteriów analizy ekonomicznej i krytycznego nastawienia w stosunku do biurokratyzmu, niechlujstwa i naruszania praworządności ludowej w zakładach pracy; nie ujawnia ona wreszcie dostatecznej dbałości o warunki życia robotników.

Inną wadą tej prasy jest lekceważenie zagadnień ideologicznych i kulturalnych; nie wolno — mówi autor — ograniczać tematyki gazet robotniczych, powinny one oświetlać wszystkie dziedziny życia. „Na II zjeździe naszej partii mówiono o potrzebie wykorzenienia z naszej prasy nudy i frazesu i o tym, że język prasy powinien być piękny, świeży i silny". Można to, zdaniem autora, osiągnąć pod warunkiem, że prasa będzie jak najbliżej życia i potrzeb czytelników.

MONOTONIA I NUDA

Trudno temu ostatniemu zdaniu odmówić słuszności, lecz można wątpić, czy recepty autora mogłyby uleczyć prasę krajową z jej monotonii i nudy. Prasa pozbawiona swobody informowania i swobody krytyki musi być z natury rzeczy jednostajna i nudna. Informację sowiecką przytłacza i zniekształca propaganda; informacja ta musi być bojowa, partyjna, budząca nienawiść do zgniłego świata kapitalizmu. Krytyka ma zasięg ograniczony. Do jej obowiązków należy obrzucanie inwektywami rządów burżuazyjnych, zwracanie uwagi na niedociągnięcia produkcji oraz donoszenie o nadużyciach władzy przez aktywistów niższego szczebla. Nie do pomyślenia jest wszakże poddawanie w wątpliwość nieomylności partii lub osób stojących na jej czele; nie do pomyślenia jest też jakakolwiek aluzja krytyczna do ustroju i systemu rządzenia. Cóż więc pozostaje? Ideologia i produkcja, produkcja i ideologia. Jest to błędne koło, z którego wszystkie wyjścia zamyka koncepcja policyjnego państwa.

Nudę prasy krajowej zwiększa jej niepomierna rozwlekłość. Redakcje pism krajowych nie ważą się streszczać uchwał KC partii, oświadczeń i przemówień dygnitarzy partyjnych, zapewne z obawy, aby nie uronić czegoś z zawartych w nich złotych myśli. Te wytwory komunistycznej elokwencji ukazują się zwykle w całości bądź co najmniej w obszernych fragmentach, zapełniając całe strony gazet. Gadatliwość biurokracji komunistycznej i jej szefów jest wręcz fantastyczna; biją oni rekordy pod względem produkcji frazesów. Przedzieranie się przez ten gąszcz wyświechtanej, jednostajnej, powtarzającej się frazeologii, upstrzonej komunistycznym żargonem, jest zadaniem wyczerpującym po prostu fizycznie. Ilu ludzi w kraju to wszystko czyta?

Czy oznacza to, że prasy krajowej przeglądać nie warto? Tak nie jest. Czytelnik uzbrojony w cierpliwość może od czasu do czasu wyłuskać spod gigantycznego kopca plew ziarno wiadomości, oświetlające przelotnym błyskiem ten lub inny fragment życia kraju; może sobie dopowiedzieć czego nie dopowiada list do redakcji, zamieszczony drobnym druczkiem na czwartej stronie czasopisma; może wreszcie w krytycznych i samokrytycznych niedyskrecjach kabotynów partyjnych szukać odpowiedzi na pytanie najważniejsze; jak głęboko dziesięć lat rządów komunistycznych sięgnęło do psychiki ludzi w kraju, co czuje i myśli w swej masie społeczeństwo, od którego odgradza nas upływ czasu i zapora innego świata. Zilustruje to parę przykładów.

DLACZEGO?

Na innym miejscu dajemy obrazki panującego nagminnie w przemyśle polskim „brakoróbstwa". Maszyny rolnicze niezdatne do pracy w polu, tysiące par butów nie nadających się do użytku, dziurawe i rozłażące się trykotaże, tony zmarnowanego cementu... Prasa krajowa przynosi przykłady niemal codziennie. I tu powstaje pytanie. Robotnik polski nie był nigdy złym robotnikiem, umiał pracować rzetelnie i sumiennie. Przerzucony biegiem wydarzeń na emigrację, jest tu ceniony i wyróżnia się korzystnie wśród swych różnojęzycznych towarzyszy. A jednak w kraju ten robotnik pracuje źle. Ujęto go w karby „socjalistycznej dyscypliny pracy", tysiące agitatorów wmawia weń codziennie, że jest budowniczym lepszego życia, że należy do klasy przodującej, że władza obecna jest jego władzą, to wszystko nie budzi w nim jednak zapału do pracy. Przyciśnięty śrubą „socjalistycznego współzawodnictwa", wypełnia normy, nie dbając o nic więcej. Dlaczego ten robotnik pracuje źle? Czy wszystkiemu winne są wysokie normy?

Jest w Polsce ok. 800 tysięcy ha odłogów i gruntów niedostatecznie zagospodarowanych. Chłopa polskiego cechował zawsze głód ziemi; przyznają to nawet sami komuniści. „Byt chłopa — mówił Bierut na IX plenum KC — był w tym (przedwojennym) okresie związany z ziemią, dla ziemi właził on w długi po uszy, borykał się ze wszystkich sił, aby choć odrobinę rozszerzyć swój stan posiadania ziemi... Przywiązanie chłopa do ziemi było zawsze i do dziś dnia pozostaje wielkie". Dziś ten chłop patrzy obojętnie na leżące odłogiem tysiące hektarów ziemi.

MNISZKÓWNA I SOCREALIZM

„Nowa Kultura" zamieszcza reportaż poświęcony czytelnictwu w jednym z większych zakładów przemysłowych w Warszawie. Czytelnictwo to w ciągu ostatnich lat sześciu wybitnie wzrosło. W r. 1947 biblioteka zakładu liczyła 75 abonentów i 319 tomów, w r. 1953 — 1024 abonentów i 3865 tomów. Biorą książki przeważnie ludzie starsi, młodzież czyta niewiele, aktywiści partyjni jeszcze mniej. Jacy pisarze mają największe powodzenie? Zapomniany przed wojną Kraszewski, Żeromski, Prus, Orzeszkowa, a wśród młodzieży powieści o treści sensacyjnej bądź pornograficznej. Młode robotnice biorą ostentacyjnie z biblioteki literaturę komunistyczną, lecz czytają, ku zgorszeniu autora reportażu, „Lukrecję Borgia" lub „Zza kulis szantanu". W braku odpowiednich książek w bibliotece zakładowej, wypożyczają je od znajomych bądź z bibliotek prywatnych. Mogą tam znaleźć — ubolewa autor — Mniszkównę, Zarzycką, Rodziewiczówną, Courts Mahlerową...

„Zawsze wydawało mi się" — pisze autor — „sądząc z wystąpień działaczy robotniczych na dyskusjach, że robotnicy niecierpliwie czekają na powieści o tematyce produkcyjnej". Okazuje się, że jest wręcz przeciwnie. Robotnicy unikają książek, w których jest mowa o normach i planach, nie chcą ich czytać nawet przodownicy pracy. Nie tylko Prus i Żeromski, lecz także Mniszkówna i Zarzycka walczą zwycięsko ze Stryjkowskim, Konwickim i Czeszką. Jeden ze zwycięzców zeszłorocznego konkursu czytelniczego, zapytany przez autora, czy czytał „Węgiel" Ścibora-Rylskiego, nie mógł sobie przypomnieć. „Wziął powieść z moich rąk, otworzył na pierwszej stronicy i powiódł dłonią po niej, następnie uczynił ten sam zabieg magiczny nad stronicami ze środka i powiedział: — Tu mówi się o kopalni, gdzie był zły dyrektorek i dobry sekretarz partyjny, prawda? Czytałem tę książkę! — skończył tonem zwycięzcy. — Ale jak te książki, wszystkie na jedno kopyto, upamiętać?"

Socrealizm wystawia tu sobie wymowne świadectwo.

POLEMIKA Z WROGIEM

Inny artykuł „Nowej Kultury" omawia braki propagandy komunistycznej w Polsce. Brakiem najważniejszym jest niezdolność pisarzy do podejmowania „wielkiej polemiki ideologicznej, polemiki z wrogiem". Wychodzimy z założenia — mówi autor — że z wrogiem się nie dyskutuje, lecz walczy przy pomocy władz bezpieczeństwa, „jak wiadomo, pracują one nieźle", ale to nie wystarcza. „Gdy wróg argumentuje, musimy umieć — my, pracownicy frontu ideologicznego — przeciwstawić mu argumentację mocniejszą logicznie, silniejszą emocjonalnie, argumentację przekonywującą". Nie można chować głowy w piasek i udawać, że radiostacje zachodnie „nie nadają setek audycji, których słucha u nas tysiące ludzi"; trzeba tych ludzi wyrwać spod wpływów wrogiej propagandy i dopomóc im w odnalezieniu właściwej drogi.

Tymczasem cóż się dzieje? „Pokażcie mi — woła autor — utwór literacki, w którym wróg przemawia takim językiem, jakim przemawia codziennie przez radio zachodnie, w kolejkach (gdy były kolejki), na herbatce u Cioci Kloci". Pisarze w Polsce nie chcą dostrzegać powikłanego splotu zagadnień natury politycznej bądź ideologicznej, przemilczają je wstydliwie, wykazują zanik wszelkich zdolności polemicznych. Autor podaje przykład konkretny. „W jednej z ostatnio napisanych sztuk współczesnych wróg, po raz pierwszy w naszej literaturze powojennej, przemawiając prawdziwym językiem wroga, mówi: — Naród was wcale nie chce, nie chce, żebyście go uszczęśliwiali! Spróbujcie zrobić wolne wybory, to zobaczycie! Co na to odpowiada bohater pozytywny? Długa, dość mętna tyrada, zakończona twierdzeniem, że my budujemy nowe żłóbki dla dzieci!! Oczywiście wywoła to niezamierzony śmiech na sali. Ale czyż to znaczy, że my nie mamy argumentów? Nieprawda, tylko oduczyliśmy się ich używać!"

Towarzysz, który to napisał, jest dla swych kolegów po piórze niesprawiedliwy. Jedynie przekonywującym argumentem byłoby zarządzenie wolnych wyborów, można wszakże wątpić, czy publicysta propagujący tego rodzaju argumentację spotkałby się z uznaniem władz partii. Lepiej już pisać o żłóbkach dla dzieci. Tylko że wówczas „tysiące ludzi" będą nadal słuchały audycji radiowych z Zachodu.

Trudno o dobitniejsze stwierdzenie bezradności komunistycznej propagandy w polemice „z wrogiem".

ZNIEWOLENI SŁUCHACZE

Prasa krajowa skarży się często na brak zainteresowania ze strony społeczeństwa imprezami propagandowymi urządzanymi przez partię lub jej organizacje pomocnicze. Prelegent delegowany z ramienia Związku Literatów do pewnej wsi w celu wygłoszenia odczytu opowiada, że przybywszy na miejsce zastał tam jedynie w charakterze słuchaczy kierownika Domu Kultury i sekretarza miejscowej POP. Po dłuższym wyczekiwaniu przybyło jeszcze dwóch prelegentów, lecz oprócz nich nie zjawił się nikt, choć rozesłano zawiadomienia do okolicznych wsi. Kierownik Domu Kultury opowiadał zawiedzionemu literatowi, jak młodzież w czasie zajęć świetlicowych na wiadomość, że ma być wygłoszony odczyt, „daje drapaka oknem".

Doświadczone organizacje partyjne dają sobie wszakże radę z tą niechęcią słuchaczy do uczęszczania na propagandowe prelekcje. Po prostu — jak opowiada korespondent „Nowych Dróg" — przygotowując tzw. zebranie otwarte sporządzają listę zaproszonych bezpartyjnych i dają im ją do podpisu. Ludzie muszą wówczas przyjść, lecz rezultat propagandowy jest nikły: „Referaty na tych zebraniach są często nudne i źle wygłaszane, wskutek czego pewna część obecnych uprzyjemnia sobie czas drzemką".

To inna strona komunistycznej polemiki „z wrogiem".

PARA BUTÓW

Na zakończenie drobny obrazek z „Życia Warszawy". Reporter tego pisma zwiedził sklep z obuwiem w Warszawie i zbadał reklamacje klientów. Znalazł przyszpiloną do urzędowego blankietu reklamacyjnego kartkę następującej treści: „Synowi podarły się stare buty. Po to, aby kupić nowe, odkładałem pieniądze przez dwa miesiące. Wreszcie kupiłem, zapłaciłem 300 zł. Syn pochodził w butach dwa tygodnie i rozleciały się. Proszę o szybką wymianę butów, bo teraz ani pieniędzy nie mam na nowe, ani syn mój nie ma w czym chodzić, gdyż stare już zupełnie niezdatne".

„Spojrzałem na datę reklamacji — pisze reporter — od czterech tygodni nie została załatwiona".

Ta para butów ma większą wymowę od całych stron statystyk i procentów wzrostu produkcji.

Migawek takich można dać znacznie więcej. Składają się one na rozrzucone fragmenty życia kraju, których zebranie w całość pozwala na pewne uogólnienia. Świadczą, że eksperyment sowiecki, narzucając społeczeństwu obce mu formy życia, nie zdołał ujarzmić go psychicznie. Pod skorupą nowej struktury socjalnej drzemią nadal siły oporu, wyrażające się w instynktownej negacji obecnej rzeczywistości. Hucznie obchodzone ubiegłe dziesięciolecie przyniosło Polsce wiele przemian zewnętrznych, lecz zawiodło oczekiwania obecnych jej rządców pod względem najistotniejszym: nie zdołało zmienić oblicza duchowego masy społecznej. Dziesięć lat, to drobny ułamek czasu w zestawieniu z tysiącletnią historią narodu. Ale czas płynie i byłoby lekkomyślnością sądzić, że nie zostawia śladów.

Glossator

MARIAN KUKIEL

SPRAWA KORONY ŁOKIETKOWEJ

Kwestia godła państwowego Polski Piastów i Jagiellonów, a także kwestia kształtu ich korony była przedmiotem artykułów prof. Strońskiego na łamach ŻYCIA. Pogląd swój na te kwestie krótko wypowiedział prof. Oskar Halecki, mediewista i znawca heraldyki, prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego na Obczyźnie. Przewidziany przez Towarzystwo Historyczne na jesień odczyt dra Jerzego Żarneckiego o „Ikonografii Kazimierza Wielkiego", oparty na gruntownych studiach źródłowych, niewątpliwie przysporzy dużo światła. Tymczasem jednak pojawił się (ŻYCIE nr 30/370) nowy artykuł prof. Strońskiego pt. „Korona koronacyjna (Łokietka) z krzyżem". Domaga się on odpowiedzi, choćby takiej, jakiej może udzielić historyk nie będący w tej dziedzinie specjalistą i nie pretendujący do źródłowego jej zbadania.



Replika korony z XIV w., wykopana w r. 1912 w Sandomierzu.

Przede wszystkim konieczne tu sprostowanie. Prof. Stroński pisze, że jego uwagi (ŻYCIE nr 21/361) wykazały, „że korona z krzyżem nie jest wcale schyłkowa ni stanisławowska, jak twierdzi orzeczenie" (Towarzystwa Historycznego). Otóż podobnego twierdzenia w orzeczeniu tym nie ma. Przeciwnie, jest tam wyraźnie powiedziane, że już Zygmunt I bywa wyobrażany w koronie zamkniętej (która zatem nie jest schyłkowa ani specjalnie stanisławowska). Orzeczenie mówiło natomiast o skłonności autorów dekretu z 1927 o godle państwowym, by „sięgnąć do tradycji Piastów i Jagiellonów (co do rysunku orła), nie zaś do czasów schyłkowych Rzeczypospolitej..." Było to przytoczenie znanego z ówczesnych oświadczeń uzasadnienia, dlaczego przyjęto rysunek orła wzorowany na pieczęciach zygmuntowskich (z taką koroną, jaką ma na tych pieczęciach, to jest otwartą, bez krzyża, która z tego właśnie powodu znalazła się w ustalonym 1927 roku godle państwowym).

W nowym swym artykule prof. Stroński dochodzi do zdumiewającej tezy, że korona koronacyjna (Łokietka) była koroną z obłąkiem (czy obłąkami) i krzyżem i że twierdzenie Towarzystwa Historycznego jakoby ich nie miała opiera się „na niczym".

Prof. Stroński zapomina tu o tekście orzeczenia, gdzie wskazane było pokrótce, na czym się opiera.

Nie zachowała się, jak wiadomo, korona Łokietkowa, **originalis sive privilegiata**, koronacyjna. Ale mamy cudownym zrządzeniem losu jej „replikę" (czy może prototyp?), wykopaną w Sandomierskiem w 1912 i przechowywaną w krakowskim skarbcu katedralnym; fotografię podaje Karol Estreicher w rozprawie **„The Mystery of the Polish Crown Jewels"** (wyd. w Londynie, bez roku, przez Alliance Press). Ówczesny minister Informacji i Dokumentacji ma tę rzecz na pewno w swych zbiorach. Znajduje się w niej również fotografia korony Kazimierza Wielkiego z jego trumny; jest to imitacja tamtej, koronacyjnej, bo tak nakazywał obyczaj ówczesny.

Fotografie obu tych koron podaje również „Encyklopedia staropolska" Aleksandra Brücknera (t. I, 589/90) na znanej prof. Strońskiemu i powoływanej przez niego tablicy.

Decydującym jest kształt tej korony w grobie Kazimierza Wielkiego, na skroniach króla, odrysowanej wraz z jego szczątkami przez Matejkę przy otwarciu grobu, a skopiowanej wtedy i wystawionej w Muzeum Narodowym w Krakowie, gdzie mógł ją prof. Stroński oglądać. Jest to gotycka korona z wieńca lilij bez obłąków i krzyża, taka sama, jaką król Władysław ma na głowie na grobowcu wawelskim, przez syna zbudowanym. Takąż jest korona na pieczęciach majestatowych Przemysława, Łokietka, Kazimierza. Na grobowcu Kazimierza Wielkiego korona ta jest również otwarta, również bez obłąka, bogatsza tylko, bo przybyło na liliach klejnotów i przez to bardziej jakby strzelista. Toż samo widzimy na tablicy erekcyjnej kolegiaty Wiślickiej: król Kazimierz na klęczkach przed Bogurodzicą wręcza Jej model kolegiaty; ma na głowie koronę otwartą, podobną jak na grobowcu, a Matka Boska ma takąż samą koronę, tylko bardziej strzelistą (cały ten materiał w reprodukcjach w „Polsce, jej dziejach i kulturze", tom I, str. 170/1, 175, 185-7). Szczegół to nie obojętny, ta korona, którą Polska XIV i XV w. wkłada na głowę Maryi Panny, bo taką ma właśnie jak widać za uświęconą, sakralną. Na wzmiankę w orzeczeniu Towarzystwa o koronie, którą jest uwieńczona Matka Boska w ołtarzu Wita Stwosza, prof. Stroński w pierwszym ze swych artykułów zaznaczył, że to „nie ma żadnego związku z godłami państwowymi w ogóle i zwłaszcza w wieku XV za Stwosza, gdy nie istniało jeszcze pojęcie Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej". Zapewne, ale cała Polska korzyła się wtedy przed Królową Niebios.

Idąc dalej musimy prosić prof. Strońskiego, by zechciał spojrzeć na korony na grobowcach i pieczęciach Władysława Jagiełły i Kazimierza Jagiellończyka i na grobowcach Zygmuntów w ich kaplicy wawelskiej. Jest to wciąż ta sama gotycka korona jak za ostatnich Piastów, z różnicami co do ornamentacji, ale bez obłąków, a tym samym i bez krzyża. Gdyby, jak prof. Stroński teraz przypuszcza, korona Łokietkowa **„privilegiata"**, była wtedy z krzyżem, to jakżeby to było? Koronacyjna z krzyżem, a na pieczęciach i posągach bez krzyża? Jak byłoby możliwe, by Kazimierz Wielki koronę bez krzyża brał do trumny, gdyby taką z krzyżem miał za życia? Kto w możliwość tego uwierzy, zdolny jest uwierzyć we wszystko, co mu ferwor polemiczny podsunie.

Materiał ikonograficzny z XVI w. przez prof. Strońskiego zebrany nie ma znaczenia dowodowego wobec istnienia zabytków, jakimi są korona „sandomierska" z XIV w., korona Kazimierza, pieczęcie królewskie i pomniki wznoszone przez królów. Świadczy on tylko o jednym, że od XVI w. królewska korona zamknięta występuje powszechnie u obcych, a pojawia się już jako użytkowa i na głowach królów polskich.

Prof. Stroński twierdzi, że nie było u nas korony bez obłąka z krzyżem, bo takiej nie było w krajach sąsiednich. Otóż wiadomość o koronie gotyckiej w średniowieczu łatwo jest znaleźć choćby w **Encyclopedia Britannica** (z 1910, t. VII, 517) i dowiedzieć się, że korona Ryszarda Lwie Serce, króla krzyżowca, była **„jak się to nazywa koroną otwartą, bez łuków** (obłąków) **wznoszących się ponad jej koło"**. Korona zaś zamknięta łukami, z jabłkiem i krzyżem pojawia się tu na pieczęci dopiero w r. 1461. Są tam rysunki koron królów angielskich. Korona Ryszarda Lwie Serce, to jakby ubogi pierwowzór Łokietkowej; ale korona z posągu Henryka IV w Canterbury zupełnie podobna do Jagiełłowej (zob. wyd. 1950, VI, 761). Co do Francji, warto spojrzeć do **„Grande Encyclopedie Française"** (t. XIII, 124), gdzie jest rysunek korony Ludwika Świętego — także króla-krzyżowca, również podobnej do Łokietkowej, choć mniej ozdobnej. Jest tam zarazem stwierdzenie, że „couronne archée" (zamknięta łukami) występuje dopiero za Franciszka I, w XVI w.

Skoro mowa o Ludwiku Świętym, żal mi, że nie mogę zaproponować prof. Strońskiemu wspólnej przechadzki do Sainte Chapelle, by spojrzeć jak ta jego korona wygląda w rzeźbie; ale proszę, by rzucił okiem na publikację A. Longnon, **„Documents parisiens sur l'iconographie de Saint Louis"** (1882, szczególnie na tablicę II i X-XV).

A skoro takimi były korony tamtych królów-krzyżowców — Ryszarda I i Ludwika IX — to cóż się dziwić, że taką samą, tylko okazalszą, była korona naszego króla-krzyżowca, Warneńczyka (na pieczęci majestatowej, „Polska, jej dzieje i kultura", I, 227). Żaden z nich nie myślał, że jego korona przez ten brak krzyża nie jest uświęcona, bo każdy z nich czuł się wraz ze swą koroną pomazańcem Bożym, włożona była na jego namaszczone skronie i razem z nią korzył się przed krzyżem.



Korona Kazimierza W. z jego grobowca w katedrze wawelskiej.

Otóż ta postać korony sakralnej określała, rzecz prosta, kształt korony na głowie orła państwowego takiego, jakim się pieczętują królowie. Na pieczęciach jest ona taką do końca XVII w.; łatwo zaś znaleźć w albumach Krakowa wspaniałego orła jagiellońskiego z kaplicy zygmuntowskiej w takiej właśnie koronie.

Prof. Stroński zwrócił uwagę na to, że na rysunku Bacciarellego i na jego portrecie Stanisława Augusta korona Łokietkowa jest wyobrażona z dwoma skrzyżowanymi obłąkami i krzyżem na nich i że Czacki w protokole rewizji skarbca 1792 wspomina dodany przez Stanisława Augusta przy przerabianiu korony obłąk złoty. Z tego wyciąga prof. Stroński wniosek, że jeden obłąk istniał już przedtem. Możliwe; odkąd był, ustalić mogą tylko badania archiwalne. Historycy sztuki niewątpliwie stwierdzą na pierwszy rzut oka, że te obłąki nie są gotyckie i są dodatkiem późniejszym — jakby ktoś miniaturę kopuły św. Piotra osadził na katedrze Notre Dame. Jedno wydaje się pewne, że ta zmiana znaleźć by musiała wyraz za tego samego panowania w rysunku korony orła na pieczęciach. Wskazywałoby to na panowanie Augusta II, kiedy orzeł w koronie zamkniętej na nich się pojawia. Nie widzę zatem, by spostrzeżenia i uwagi artykułu obalały w jakimkolwiek punkcie orzeczenie Towarzystwa — a sprostowanie winien dać raczej prof. Stroński.

(Dokończenie na str. 4)

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Kongres Maryjny w Kanadzie. W nocy z 4 na 5 sierpnia został otwarty w Trois-Rivieres w Kanadzie wielki Kongres Maryjny, który trwał aż do 15 sierpnia. Każdy dzień był poświęcony jednej z dziesięciu prowincyj kanadyjskich: rano Msza św. pontyfikalna, po południu modlitwy po angielsku, wieczorem po francusku; poświęcenie prowincji Matce Boskiej; różaniec odmawiany przez cały dzień i noc; „Godziny Maryjne" z Mszami św. o 2 i 3 po północy. Przez cały czas trwania kongresu, w kinach obu miast Trois Rivières i Cap-de-la Madeleine wyświetlano filmy o charakterze religijnym, a w koloseum, mogącym pomieścić 3.500 osób, wystawiano widowisko „Ta, która swój płaszcz rozpościera od jednego oceanu do drugiego", składające się z dziesięciu obrazów, które wychodząc z jakiejś właściwości życia kanadyjskiego miały na celu uświetnienie Kościoła. Ponad 175 osób wzięło udział w widowisku, wszyscy należący do stowarzyszenia „Compagnons de Notre-Dame", ponadto grupa 60 tancerzy. W dniach 12 i 13 odbywały się posiedzenia Kanadyjskiego Stowarzyszenia Historii Kościoła i Kanadyjskiego Stowarzyszenia Studiów Maryjnych.

Ojca św. reprezentował legat papieski kardynał Valerio Valeri, w godzinach popołudniowych ostatniego dnia kongresu przemawiał do Kongresu Ojciec św. w językach francuskim i angielskim. Papież mówił o obowiązkach chrześcijan i sławił Matkę Bożą.

W 40-lecie zgonu św. Piusa X. W dniu 20 sierpnia minęło 40 lat od śmierci czyli, jak się zwykło mówić o Świętych, od Dnia Urodzin dla Nieba (Dies Natalis) św. Piusa X. Przed ołtarzem, gdzie spoczywa jego święte ciało, w rocznicę tę przesuwały się tysiące wiernych różnych ras i narodów, a ołtarz tonął w kwiatach i świecach wotywnych. Msze św. przed tym ołtarzem odprawiane były od 6 do 13, a wśród celebransów znaleźli się m. in. biskup Pietro Canisio van Lierde, przełożony zakrystii Jego Świątobliwości, kardynał Clemente Micara, wikariusz generalny Jego Świątobliwości, arcybiskup Nankinu Paweł Yu-Pin.

Pomnik ku uczczeniu Kateri Tekakwitha. 8 sierpnia odbyły się w Caughnawaga w Kanadzie uroczystości poświęcenia pomnika Katarzyny Tekakwitha. Wywarła ona wielki wpływ na życie religijne swego narodu: Irokezów. Urodzona w roku 1656, przyjęła chrzest w dwudziestym roku życia, obdarzona w tym dniu radością niebiańską. Uciekła od swego wuja poganina do misji św. Franciszka Ksawerego w Caughnawaga i tam doznała wrażenia, że weszła do raju. Umarła w r. 1680, zaledwie 24-letnia, dając w ciągu kilku lat życia jako chrześcijanka przykład wzorowego pełnienia woli Bożej, zgodnie ze swym powiedzeniem: „Kto mnie pouczy o tym, co najbardziej podoba się Bogu, ażebym mogła to czynić?" Stała się, jak została nazwana, „Lilią Mohawków". Po poświęceniu pomnika ku jej czci delegat apostolski Kanady arcybiskup Giovanni Panico w dłuższym przemówieniu wysławiał Sługę Bożą, przypominając, jak w kwadrans po śmierci twarz jej stała się przecudnie piękna. Pomnik przedstawia Katarzynę z krzyżem i różańcem i delegat apostolski wskazał na potrzebę naśladowania „Lilii Mohawków" w jej cnotach heroicznych, w miłości Boga i Matki Najświętszej. Przemówienie swe kończył wyrażeniem swego wielkiego pragnienia, by ujrzeć czcigodną Katarzynę czczoną na ołtarzach i zapewnił, że takie samo pragnienie ożywiało Piusa XI i ożywia obecnego Papieża, który dla przyspieszenia jej beatyfikacji zmniejszył liczbę wymaganych cudów z czterech na dwa. Przemawiał także reprezentant rządu federalnego Ottawy, minister poczt Alcide Coté, który wskazał na heroiczną walkę sługi Bożej Katarzyny z pogaństwem jej narodu i na jej aktualność, jako świecącej latarni morskiej, w walce z nowoczesnym pogaństwem, występującym w różnych formach, zwłaszcza w formie bezbożnego komunizmu. Po zastąpieniu w niektórych krajach prawdziwego Boga Rasą i Państwem, dając smutne widowisko Boga-Rasy i Boga-Państwa, pogaństwo przyszło w następstwie do wspóczesnego państwa bezbożnego. Wobec tej nowej formy pogaństwa staje sługa Boża Kateri Tekakwitha jako natchnienie i wymowne pouczenie dla wszystkich chrześcijan Kanady.

Rodzina, która dała 8 powołań. Instytut Powołań Zakonnych i Kapłańskich w Stanach Zjednoczonych wyróżnił dwoje małżonków Danachie z Jonkers, którzy dali Bogu trzech synów kapłanów i pięć córek zakonnic. Na ceremonii obecnych było ponad 1.000 przełożonych zgromadzeń religijnych ze Stanów Zjednoczonych i Kanady.

ORDER POLSKI DLA KAPŁANA WŁOSKIEGO

Ks. prałat Emanuel Claricio, radca Nuncjatury w Paryżu, dawny sekretarz ks. prałata Montiniego został odznaczony Komandorią Polonia Restituta. Odznaczenie wręczył ks. prałat Meysztowicz, radca kanoniczny ambasady polskiej przy Watykanie w czasie swego ostatniego pobytu w Paryżu.

Ks. prałat Claricio w czasach swego urzędowania we Włoszech w okresie ostatniej wojny, zasłużył się koło spraw polskich i obecnie znany jest ze swego przychylnego ustosunkowania się do uchodźców polskich i ofiar wojny.

(IC)

ROSJA NIEZMIENNA

Nawet wśród Polaków, którzy doznali tylu krzywd i prześladowań ze strony rosyjskiej, wyrażana jest niejednokrotnie opinia, że odpowiedzialność za ten stan rzeczy spada nie na naród rosyjski, lecz na rządy rosyjskie — carskie czy sowieckie. Jakżeż często zesłańcy polityczni Polacy w czasie ostatniej wojny światowej litowali się nad biednymi, uciskanymi obywatelami sowieckimi, rdzennym Rosjanami!

Opinie te zawierają w sobie wiele złudzeń, są wyrazem raczej pewnej inklinacji uczuciowej niż ścisłego i trzeźwego rozumowania politycznego. Tłumaczy się to oczywiście faktem, że jesteśmy pobratymcami Rosjan, ale z drugiej strony dzieli nas od nich świat pojęć i doświadczeń religijnych, społecznych i politycznych, co wszystko składa się na odmienność kultury.

Rzecz dziwna i niezwykła: ażeby wyjaśnić sobie, co nas i inne narody kultury zachodniej dzieli od Rosjan, najlepiej sięgnąć po książkę wydaną po raz pierwszy okrągło 110 lat temu, w 1843 r., we Francji, a świeżo udostępnioną ponownie czytelnikowi w krajach anglosaskich: dziennik podróży po Rosji markiza de Custine.*)

Z noty tłumaczki i z przedmowy b. ambasadora amerykańskiego w Moskwie, a obecnego podsekretarza stanu w Waszyngtonie, gen. Bedell Smitha, wynika, że książka markiza de Custine była, że tak powiemy, powszechną lekturą członków powojennej ambasady amerykańskiej w Moskwie. Sądzić należy, że była to lektura pożyteczna i otwierająca oczy na wiele bieżących a niezrozumiałych problemów życia rosyjskiego.

Jako szczegół charakterystyczny warto podnieść, że wydanie rosyjskie dziennika podróżnego markiza francuskiego z 1930 r. znalazło się na sowieckiej czarnej liście publikacyj i stało się tym samym niedostępne dla czytelnika rosyjskiego.

Kim był markiz Astolphe de Custine? — Urodzony w 1790 r., potomek rodziny arystokratycznej, którego ojciec i dziadek (gen. Philippe de Custine) zginęli na gilotynie w czasie wielkiej rewolucji francuskiej, był z przekonań zdecydowanym monarchistą, autorem książek historycznych, politycznych, podróżniczych, powieściopisarzem i dramaturgiem. Do Rosji wybrał się, by „znaleźć argumenty przeciwko rządom reprezentacyjnym". Po paromiesięcznym pobycie w Rosji wrócił do Francji uleczony ze złudzeń i przekonany o wyższości rządów konstytucyjnych nad ustrojem absolutystycznym, którego odrażające formy poznał w czasie podróży. Terminologia nieco się zmieniła, ale problem zasadniczy pozostał niezmieniony. Dziś powiedzielibyśmy, że mamy do czynienia z przeciwieństwem demokracji i dyktatury.

Custine był umysłem o rzadko spotykanej sile spostrzegawczości, o wyjątkowej bystrości obserwacyjnej i typowo romańskiej jasności sformułowań i definicji. Lektura jego książki daje wiele zadowolenia czysto intelektualnego. Pragnę poniżej dać próbkę niezmiernie jasnych, trafnych i przekonywujących wywodów autora na temat różnicy między religią katolicką a kościołami „narodowymi", do których oczywiście należy i religia prawosławna:

> „Gdy Kościół zrzeka się wolności, zatraca swe możliwości moralne; niewolnik wydaje na świat tylko niewolę. Trzeba to powtarzać ustawicznie; prawdziwie niezależnym kościołem jest tylko Kościół katolicki, który w ten sposób zachował wyłącznie powiernictwo miłości; wszystkie inne kościoły stanowią część ustrojową państw, które robią z nich użytek polityczny dla podtrzymania swej władzy. Kościoły te są doskonałymi pomocnikami rządów; gną się przed dzierżycielami władzy doczesnej, przed książętami czy dostojnikami rządowymi, są twarde wobec poddanych — wzywają Bóstwo na pomoc policji; rezultat bezpośredni jest oczywisty, polega on na tym, że w stosunkach społecznych panuje ład i porządek. Lecz Kościół katolicki, który politycznie jest tak samo potężny, ma pochodzenie wyższe i sięga dalej. Kościoły narodowe kształtują obywateli, Kościół Powszechny kształtuje ludzi." (str. 167-168).

De Custine często pisze o „imperium słowiańskim" mając na myśli Rosję, którą jakgdyby utożsamiał ze słowiańszczyzną. Trudno sobie jednak wyobrazić, by nie zdawał sobie sprawy, iż Polacy również należą do świata słowiańskiego i że istnieją inne narody słowiańskie, które nie są groźne dla pokoju świata i dla wartości wytworzonych przez cywilizację zachodnią.

Imię Polski powtarza się niejednokrotnie na kartach dziennika i wymawiane jest ze czcią, sympatią i uznaniem. W pewnym miejscu de Custine wspomina o rozmowie swojej z carem Mikołajem I, podczas której myśl jego mimo woli błądziła „od Warszawy do Tobolska, a sama nazwa Warszawa budziła we mnie ducha oporu i wyzwania"; mówi on dalej o nowej fali prześladowań rosyjskich w Polsce, spowodowanej wykryciem „tak zwanego polskiego spisku młodych szaleńców, którzy byliby uznani za bohaterów, gdyby ich zamysł był się powiódł; wydaje mi się, że ich wysiłki były tym bardziej bohaterskie, ponieważ tak rozpaczliwe. Serce moje krwawi na myśl o zesłańcach, ich rodzinach, ich kraju. Cóż się stanie, gdy prześladowcy tej części świata, gdzie niegdyś kwitła rycerskość, zaludnią kraj Tatarów najbardziej szlachetnymi i odważnymi spośród dzieci starej Europy? Wtedy, osiągnąwszy szczyt swej polityki lodowatej(?), ucieszą się swoim sukcesem: Syberia stanie się królestwem, a Polska pustynią." (str. 155) Metody walki rządu carskiego z Polakami, narodem o starej kulturze, stają się zbrodnią przeciwko ludzkości.

Głównym tematem spostrzeżeń i uwag de Custine'a jest jednak sama Rosja, jej rząd i naród. Zetknięcie się z potęgą jej i z kierunkiem i siłą jej ambicyj przy poczuciu słabości Zachodu budzi w autorze niekiedy przerażenie i apokaliptyczne niemal przeczucia jakiejś ostatecznej inwazji, która pochłonie Zachód: „gwałt zakończy panowanie słowa". Rosja carska sprzed 110 laty budziła te same obawy, które budzi Rosja sowiecka w Europie współczesnej!

Ta niezmienność nie tylko zasadniczych form ustrojowych, ale i dyspozycyj psychicznych narodu rosyjskiego ciągle rzuca się w oczy przy czytaniu dziennika de Custine'a. Rosja wszak nie przestała być krajem par excellence policyjnym. Każdy cudzoziemiec traktowany jest tam podejrzliwie i nieufnie. Jak mówi de Custine, „korpus dyplomatyczny i w ogóle ludzie z Zachodu byli zawsze uważani przez ten rząd, przejęty duchem bizantyńskim, i przez Rosję w całości za niechętnych i zazdrosnych szpiegów".

De Custine ocenia bardzo surowo despotyzm panujący w Rosji, którego liczne przykłady przytacza. Ale bardziej może odrażająco działa na niego obłuda, którą wszędzie dostrzega. Rosja była zawsze rządzona przez oszustwo, stwierdza autor i dodaje, że tyrania, do której Rosjanie przyznawaliby się, byłaby krokiem naprzód. Przytacza on szereg przykładów rozbieżności między pozorami a rzeczywistością. Gdy np. kara śmierci była w Rosji zniesiona (zbrodnia zdrady stanu stanowi wyjątek w tej zasadzie), przestępca skazany na chłostę ponad stu uderzeń bywał często świadomie uśmiercany już w początkach tej brutalnej egzekucji. Rozbrat między wyznawaną zasadą a jej stosowaniem jest tu uderzający.

Jakżeż słuszne i jakże aktualne wydaje się spostrzeżenie de Custine'a, że „imperium to, choć tak rozległe, jest tylko więzieniem, którego klucz spoczywa w dłoniach cesarza; a w państwie tym, które może żyć tylko podbojami, w czasie pokoju nic nie dorównuje nędzy poddanych... Widzę, że nieszczęście urodzenia się pod takim reżymem kompensują tylko marzenia o arogancji i nadzieje na panowanie. Ilekroć staram się analizować życie moralne mieszkańców Rosji, narzuca mi się spostrzeżenie o tej rosyjskiej pasji panowania. Rosjanin myśl i żyje jak żołnierz... jak żołnierz-zdobywca." (str. 111)

Terror i ambicja — to jedyne pojęcia, które naród rosyjski traktuje na prawdę serio. De Custine przypisuje nienaturalność rozwoju kulturalnego Rosji niecierpliwości jej władców z Piotrem Wielkim na czele, którzy nie pozwolili dojść do głosu w właściwym czasie swojskim, rodzimym tendencjom i obyczajom, a narzucili społeczeństwu zapożyczone z Zachodu gotowe wzory. W ten sposób Rosja pozbawiona została naturalnej fermentacji i korzyści z powolnego i naturalnego rozwoju kulturalnego. W życiu Rosji zabrakło niejako fazy dojrzewania, tego okresu mozolnego, w którym sfera duchowa człowieka przejmuje odpowiedzialność za jego niezależność. W ten sposób dokonał się w życiu narodu rosyjskiego przeskok z dziecięctwa w okres wieku męskiego.

Rezultat tego wszystkiego jest opłakany: Rosja przedstawia się autorowi jako kraj, którego ludność jest głęboko nieszczęśliwa, ponieważ cierpi równocześnie na skutek ujemnych stron i barbarzyństwa i cywilizacji. Po stu przeszło latach obraz zasadniczo się nie zmienił. Wielu współczesnych obserwatorów zanotowało cierpienie duchowe społeczeństwa rosyjskiego jako fakt nie ulegający wątpliwości.

De Custine w sposób niemal genialny odkrył utajoną sprężynę umęczonej w tragicznym powikłaniu duszy rosyjskiej w cytowanych poniżej zdaniach:

> „Nieokiełznana, bezgraniczna ambicja, ambicja tego rodzaju, która potrafi zapuścić korzenie w duszy społeczeństwa uciśnionego i która żywi się nędzą całego narodu, oto, co krzewi się w sercach Rosjan. Ten zasadniczo agresywny naród, chciwy z powodu swego niedostatku, żyje w stanie uległości tak poniżającej, że jakgdyby stanowiło to już naprzód ekspiację za nadzieję stosowania tyranii nad innymi. Przewidywane bogactwa i chwała odwracają ich myśli od hańby, jaka obecnie jest ich udziałem. By obmyć się z bezeceństwa dokonanego wyrzeczenia się wszelkiej publicznej i prywatnej wolności, klęczący niewolnik marzy o podboju świata... Rosjanie są uformowani na wzór narodów antyku; wszystko w nich przypomina Stary Testament; ich nadzieje i ich cierpienia są wielkie jak wielkim jest ich imperium. Wszystko tam jest bez granic — zarówno ból, jak i nagroda, zarówno ofiary, jak nadzieje. Ich potęga może stać się przeogromna, lecz za cenę, jaką narody azjatyckie płacą za stałość swych rządów — za cenę szczęścia." (str. 234-235)

Posmak niezwykłej aktualności posiada też zalecenie de Custine'a zapobieżenia zamysłom agresywnym Rosji wobec Zachodu przez zwarcie szeregów: „Jeśli namiętności uspokoją się na Zachodzie, jeśli jedność ustali się między rządami i obywatelami, pożądliwa nadzieja napastniczych Słowian stanie się pustą iluzją." (str. 237)

Książka, przynajmniej w wydaniu angielskim, kończy się akcentem religijnym. Cytuje ona wypowiedzi wybitnego myśliciela rosyjskiego, że Rosja powinna przyjąć katolicyzm, by wypełnić swe przeznaczenie. Czyż nie o to modlimy się we wszystkich kościołach katolickich na całym świecie od kilkunastu lat — o nawrócenie Rosji?

M. Ch.

*) **The Journals of the Marquis de Custine: JOURNEY FOR OUR TIME. Edited and translated by Phyllis Penn Kohler. Introduction by Lt. Gen. Walter Bedell Smith, Arthur Barker Ltd. London 1953. Str. 240.**

DLACZEGO COLETTE NIE MIAŁA KATOLICKIEGO POGRZEBU?

Na łamach paryskiego „Figaro Litteraire" pojawił się list otwarty Grahama Greene'a do Kardynała Arcybiskupa Paryża, w związku z pogrzebem zmarłej z początkiem sierpnia pisarki francuskiej Colette. List ten, datowany w Paryżu dnia 8 sierpnia b.r., nabrał wielkiego rozgłosu, ponieważ wyszedł spod pióra wybitnego pisarza katolickiego i zawierał zarzuty skierowane przeciwko Hierarchii kościelnej.

List otrzymał należytą odprawę na łamach katolickiego dziennika „La Croix".

Przytaczamy w pełnym brzmieniu oba dokumenty:

LIST GRAHAMA GREENE'A

Eminencjo! Osoby kochające Colette i jej książki zebrały się dziś, aby ją uczcić, na obrzędzie, który w oczach katolików był okaleczony. Zwykliśmy modlić się za naszych zmarłych. Wedle naszej wiary, zmarli nie powinni być pozbawieni modlitwy. Każdy, kto został ochrzczony w Kościele katolickim, ma prawo do odprowadzenia jego zwłok do grobu przez kapłana. Tego prawa nie można utracić, tak jak się traci obywatelstwo prowizorycznej ojczyzny, na skutek przestępstwa lub przewinienia, z tej przyczyny, że żadna ludzka istota nie ma prawa do sądzenia drugiej, ani do wyrokowania, gdzie się zaczynają błędy i gdzie kończą zasługi. Otóż dziś, skutkiem zarządzenia Eminencji, żaden kapłan nie odmówił publicznych modłów w czasie pogrzebu Colette. Racje Eminencji są wszystkim znane. Ale czy by one były zastosowane, gdyby Colette była nieco mniej sławna? Zapomnijmy o tym, że to była wielka pisarka i pomyślmy o starej osiemdziesięcioletniej kobiecie, która, w czasie kiedy jeszcze Wasza Eminencja nie był wyświęcony, zawarła nieszczęśliwe małżeństwo bez jej winy (o ile, oczywiście, niewinności nie uważa się za błąd) i potem złamała prawo Kościoła przez drugie i trzecie małżeństwo cywilne. Czyżby dwa małżeństwa cywilne były absolutnie niewybaczalne? Życie niektórych naszych świętych dostarcza nam gorszych przykładów. Oni, oczywiście, żałowali. Żal wynika z zastanowienia się nad życiem, nikt jednak nie może powiedzieć, jaka jasność wypełnia duszę w obliczu śmierci. Podstawy potępienia przez Waszą Eminencję nie były wystarczające do tego, aby Eminencja ni żaden z księży nie wziął udziału w jej pogrzebie.

Wasza Eminencja, aczkolwiek tego nie stwierdził, lecz dał pozór do sądzenia, że Kościół potępia ludzi nawet poza grobem. W jakim celu Eminencja dostarczył tego pozoru? Czy może, aby ostrzec Jego trzodę przed niebezpieczeństwem lekkiego traktowania prawa małżeńskiego? Byłoby zapewne lepiej ostrzec ją przed niebezpieczeństwem zbyt lekkiego potępiania drugich i przestrzec przed brakiem miłosierdzia. Władze kościelne często przypominają autorom o ich odpowiedzialności wobec prostych dusz i o ryzyku skandalu. Ale jest też inne ryzyko, mianowicie skandalu wobec dusz doświadczonych. Czy Wasza Eminencja nie sądzi, że tego rodzaju skandal może być spowodowany Jego zarządzeniem? Nie-katolikom może się wydać, że samemu Kościołowi brak miłosierdzia, bo odmawia on modlitw w chwili największej potrzeby. Jakże inaczej postąpił Kościół protestancki wobec zmarłego Gide'a! (Wasza Eminencja zechce wybaczyć zapalczywość tych słów, biorąc pod uwagę fakt, że pisarz, którego książki lubimy, jest dla nas kimś drogim. To nie jest wszak oderwany przykład poddany pod dyskusję na seminarium teologii moralnej.)

Po zastanowieniu się, katolicy mogą, naturalnie, sądzić, że głos jednego Arcybiskupa niekoniecznie jest głosem Kościoła, ale wielu katolików, nie tylko we Francji, ale także w Anglii i w Ameryce, gdzie dzieła Colette są czytywane i uwielbiane, dozna osobistego bólu wobec faktu, że Wasza Eminencja, wskutek tak ścisłej interpretacji zasady, zdaje się zaprzeczył nadziei na ostateczną interwencję Łaski, od której przecież los Waszej Eminencji i nas wszystkich zależy w naszych ostatnich godzinach.

Z pokornym szacunkiem dla Świętej Purpury,

GRAHAM GREENE

ODPOWIEDŹ „LA CROIX"

(w nrze z soboty, 14 sierpnia b.r.)

Paryski tygodnik literacki zmobilizował Grahama Greene'a, aby wystąpił wobec J. Em. Kardynała Arcybiskupa Paryża w sprawie pogrzebu Colette, który, jak wiadomo, odbył się bez żadnej ceremonii religijnej.

Zarządzenia Hierarchii, w pełni uzasadnione dyscypliną kościelną, nie wymagają naszej aprobaty. Wolno nam nawet, jeśli nam to dyktuje nie co inne i nie kto inny, jak tylko sumienie katolickie, uważać daną decyzję za niedorzeczność, a nawet za absurd.

W cóż to takiego się wtrącamy? Nawet pod sławnym nazwiskiem Gros-Jean pozostaje Gros-Jeanem i zaniedbuje się piękną okazję milczenia, atakując władzę kościelną na polu, gdzie jest ona najzupełniej nietykalna. Bowiem jest to jej własna dziedzina i nie wystarcza być Grahamem Greene'm, by ją pouczać.

Powieściopisarz pisze do Kardynała: „Racje Eminencji są wszystkim znane. A czy by one były zastosowane, gdyby Colette była nieco mniej sławna?" Ależ tak, Panie Greene, byłyby zastosowane te same, jak je Pan słusznie nazywa, „racje".

Jeśliby nie były zastosowane wobec Colette, świetnej pisarki, jeśliby miały być zawieszone dlatego, że Colette była świetną pisarką, jestem pewien, że wówczas maluczcy chrześcijanie wystąpiliby z zapytaniem, dlaczego są dwie wagi i dwie miary. Prawo, któremu Graham Greene potakuje przy końcu swego listu, nie rozróżnia rangi społecznej ani stopni sławy. Wobec niego wszyscy ludzie są równi. Tylko Kościół jest jego wykładowcą.

Graham Greene powinien wiedzieć, tak jak każde dziecko uczące się katechizmu, że nie wystarczy być ochrzczonym, aby mieć „prawo" do odprowadzenia przez księdza do grobu.

Graham Greene powinien wiedzieć, że odmawiając pogrzebu religijnego Kościół nie potępia duszy; że nie sądzi tajemnic sumienia, pozostawiając Bogu sprawę ostatecznego wyroku; że nie brak Kościołowi miłosierdzia i że nie zaprzecza on interwencji Łaski.

Graham Greene powinien wiedzieć, że Kościół jest zobowiązany do przykładania wagi do rozwodu i dwu małżeństw cywilnych. Rzuca się pytanie: „Czyżby dwa małżeństwa cywilne były absolutnie niewybaczalne?" Każdy błąd jest wybaczalny, ale do tego potrzeba, aby winny prosił o wybaczenie.

Czy Graham Greene mógłby nam wyjaśnić, kiedy i w jaki sposób Colette okazała chociażby pozór prośby o wybaczenie? Kościół nie włamuje się do sumień, nie przesądza, bez poważnych przesłanek, wewnętrznych dyspozycji.

Oskarża się Kościół, w pewnych środowiskach, o przywiązywanie zbytniej wagi do ostatnich chwil tych wiernych, którzy byli bardzo niedoskonałymi Jego członkami. Oskarża się Kościół o nazywanie katolikami, dla celów apologetycznych, sławnych ludzi, których wiara była sporna a nawrócenie wątpliwe. Czy Graham Greene nie zgodzi się, że ceremonia religijna dałaby nową podstawę do takich złośliwych oskarżeń?

Mówi się nam o skandalizowaniu „dusz doświadczonych", które miało wyniknąć z zarządzenia Hierarchii. Doprawdy, chętnie byśmy poznali jedną z tych dusz i dowiedzieli się, w czym ona jest „doświadczona". Czyżby w nauce katolickiej? Skoro tak, nie ma obawy o wywołanie skandalu.

Obawiam się jednak, że te dusze doświadczone, jeśli się je spotka, będą z tych, które katolikami nazywają się dwa albo trzy razy w życiu, które natomiast mienią się tolerancyjnymi, liberalnymi i wyrozumiałymi, dla których obrzęd pogrzebu, to organy, śpiewy i światła, obowiązkowe w programie dla osobistości z pewnego świata. Czy autor „Przemocy i chwały" może rzeczywiście bez sprzeciwu sprzyjać podobnemu oszustwu „dusz doświadczonych"?

L. G.

Proces beatyfikacyjny arcyb. Cieplaka

W wikariacie miasta Rzymu odbyło się 4 sierpnia b.r. posiedzenie trybunału w sprawie beatyfikacji ks. arcybiskupa Jana Cieplaka. Trybunał pod przewodnictwem ks. arcbpa Traglia (vicegerente diec. rzymskiej), w składzie 3 sędziów (ks. prałat Marian Strojny, ks. Józef Rastelli i ks. Marcelli Magliocchetti) zamknął proces „de non cultu".

Notariusz odczytał przygotowane protokoły, postulator złożył przepisaną przysięgę, że zebrane akta doręczy Kongregacji, sędziowie podpisali akta, notariusze zamknęli je w koperty, zalakowali, opieczętowali i oddali postulatorowi. Ten zaś tego samego dnia oddał je w urzędzie Kongregacji Rytów.

Trybunał wikariatu ma jeszcze do przeprowadzenia 2 procesy: 1) „de scriptis" (o pismach kandydata) i 2) „de fama sanctitatis et virtutum" (o życiu, świętości i cnotach).

Po załatwieniu tych 3 procesów w I instancji bada zebrane akta w II instancji Kongregacja Rytów. Sędziowie rozpatrują sprawę i oceniają akta. Tam znowu muszą być załatwione te same 3 procesy. Potem dopiero bada się cuda zdziałane za przyczyną świętego i przygotowuje ogłoszenie beatyfikacyjne.

Postulator, ks. prałat Meysztowicz przygotowuje już drugie stadium procesu, jeździ i bada świadków jeszcze żyjących, którzy znali arcybiskupa Cieplaka. Ostatnio bawił w Paryżu, gdzie specjalnie zwołany francuski trybunał kościelny przesłuchał wobec ks. postulatora naocznego świadka, który towarzyszył ks. arcybiskupowi Cieplakowi w jego podróżach po Syberii. Świadek ten opowiadał nadzwyczaj ciekawe szczegóły działalności arcbpa, potwierdzające jego głęboką pokorę, umiłowanie dusz, świętość życia i zaparcie się siebie.

W najbliższym czasie ks. postulator wyjedzie do Hiszpanii, do Barcelony, aby tam wobec trybunału przesłuchać 2 ważnych świadków: ks. biskupa Urbsza z Łotwy i jego kapelana ks. Nowickiego, którzy znali dobrze ks. arcbpa Cieplaka. Po załatwieniu tej sprawy ks. postulator będzie przeprowadzał takie same badanie świadków w Stanach Zjednoczonych. Podczas pobytu we Francji ks. prałat Meysztowicz zamianował ks. Floriana Kubsza, redaktora „Polski Wiernej" i „Słowa Katolickiego" wicepostulatorem sprawy arcybiskupa Cieplaka we Francji.

(IC)

Ostatnie chwile De Gasperiego

Zmarły mąż stanu włoski Alcide De Gasperi miał w swej działalności politycznej wiele trudności do pokonania, ale od wielu innych polityków napotykających również na trudności różnił się tym, że mocy do ich przezwyciężenia szukał nie u ludzi, lecz u Tego, który — mimo wszystko i wbrew wszystkim pozorom — rządzi dziejami ludzkości. Stwierdził to sam kiedyś w rozmowie z obecnym sekretarzem Międzynarodowego Komitetu Apostolstwa Świeckich Veronese: „Gdyby nie moja wiara chrześcijańska, nie pozostałbym dłużej niż dziesięć minut na stanowisku prezesa rady ministrów".

O tej jego wierze świadczy jego pogodna śmierć po chrześcijańsku przyjęta z rąk Przedwiecznej Miłości.

Kilka dni przed śmiercią czuł się niezdrów, a w jej przeddzień jego osobisty przyjaciel dr Borromeo wezwał na konsylium dra Tollera z Borgo. W ostatnich tych dniach De Gasperi przejęty był wiadomościami nadchodzącymi w sprawie Europejskiej Wspólnoty Obronnej, a w czasie ostatniej telefonicznej rozmowy z obecnym premierem włoskim Scelba miał łzy w oczach, gdy dowiedział się o trudnościach, na jakie napotyka ta jedność Europy, której tyle trudu poświęcił.

O godzinie 22 miał poważny atak; po zastosowaniu jednak zastrzyku stan poprawił się na tyle, że domownicy udali się na spoczynek; w cztery godziny później stan zdrowia pogorszył się do tego stopnia, że wezwano księdza, który choremu udzielił ostatnich Sakramentów św., w obecności żony, córek, szwagra i innych domowników.

Chory zażądał od swej córki Cecylii, by czytała mu wyjątki z modlitewnika zawierającego modlitwy za konających. W poprzednich dniach kilka razy zwracał się z prośbą do swych najbliższych: „Gdy będę bliski śmierci, chcę, żebyście mi czytali modlitwy za umierających". Do tej woli ojca zastosowała się teraz córka Cecylia i przed łóżkiem, głosem silnym, czytała modlitwy. Wśród tych modlitw De Gasperi zmarł, a jego ostatnie słowa były: „Jezu, Jezu".

WYDARZENIA W KRAJU

KORESPONDENCI ROBOTNICZO-CHŁOPSCY

„Partia nasza — pisze „Trybuna Ludu" — wysoko ceni pracę korespondentów, ich nieprzejednaną postawę wobec niedomagań, ich gorące pragnienie naprawienia za wszelką cenę zauważonych niedociągnięć... Są oni jakby wielotysięcznymi ramionami partii i władzy ludowej..."

Praca korespondentów nie odbywa się jednak bez dużych zahamowań i oporów. Wielu działaczy partyjnych traktuje tych przedstawicieli „krytyki oddolnej" z lekceważeniem, inni usiłują ich terroryzować, nakładając na nich grzywny bądź przenosząc do cięższej lub gorzej płatnej pracy. „Bywa nawet, że znajduje się sposoby na korespondenta, szczując nie bezpośrednio przeciw niemu, lecz przeciw bliskim mu ludziom". Życie korespondenta nie jest więc usłane różami.

To wszystko — oświadcza kategorycznie pismo — musi ustać. Fakty dławienia krytyki będą tępione, a winni poniosą zasłużoną karę. „Prześladowanie korespondentów robotniczych i wiejskich to barbarzyństwo, przeżytek obyczajów burżuazyjnych."

Inny numer „Trybuny" opisuje niedolę jednego z korespondentów, niejakiego tow. Kubiaka. Tow. Kubiak pracował w Poznańskim Zjednoczeniu Budowlanym, ubocznie zaś zajmował się pisaniem listów krytycznych do redakcji czasopism. Władze Zjednoczenia patrzyły bardzo niechętnym okiem na tę jego działalność, przenosząc go początkowo do tych rodzajów pracy, które właśnie krytykował, a gdy ta metoda perswazji nie odniosła skutku, spowodowały wydalenie go z partii. „Trybuna" uznaje, że wydalenie było bezpodstawne i nie szczędzi słów oburzenia „dławicielom krytyki".

Wszystko to świadczy o niezdrowej atmosferze, jaką wytworzyło oficjalne faworyzowanie ludzi, którzy z różnych, nie zawsze bezinteresownych pobudek, zajęli się uprawianiem „krytyki oddolnej". Korespondent robotniczy mało ma zazwyczaj kompetencji do obiektywnej oceny działalności przedsiębiorstwa lub ludzi stojących na jego czele; ponieważ jest za swe doniesienia praktycznie nieodpowiedzialny i nie obowiązany do ich sprawdzania, może pisać co chce, po prostu po to, aby „osmarować" w gazecie przełożonego, z którym ma zatarg bądź zyskać uznanie organizacji partyjnej za swą „czujność rewolucyjną". System krytyki „oddolnej" czyli denuncjacji, mający zastąpić racjonalnie zorganizowaną kontrolę, służy często nie naprawianiu błędów, lecz staje się narzędziem załatwiania porachunków osobistych lub usuwania niewygodnych ludzi. Nic więc dziwnego, że strona krytykowana przeciwstawia „krytykom" mniej lub więcej solidarny opór.

Od korespondencji, o których mowa wyżej, trzeba odróżniać „listy obywateli". Są to przeważnie skargi i zażalenia ludności na decyzje administracji. Listów takich do instancji partyjnych, instytucji, urzędów i redakcji pism wpłynęło, według „Trybuny Ludu", w r. 1953 ponad milion. „Trybuna" widzi w tym dowód „ogromnego zaufania" ludności do władzy ludowej, jedną z form „rzeczywistego ludowładztwa". Poprawniej należałoby widzieć w tym wielkim napływie skarg dowód złej administracji.

GROMADY ZAMIAST GMIN

Dobiegają końca przygotowania do przeprowadzenia nowego podziału administracyjnego państwa, polegającego na zniesieniu gmin wiejskich i gminnych rad narodowych, a utworzeniu na ich miejsce gromad i rad gromadzkich jako jednostek administracyjnych pierwszej instancji. Zamiast dotychczasowych 3.001 gmin i 39 600 gromad ma powstać 8.800 nowych gromad. Obszar gromady będzie wynosił przeciętnie 50 km kw., a liczba jej mieszkańców nie będzie przekraczała 3 tys. Odległość siedziby gromadzkiej rady narodowej od najdalej położonych gospodarstw ma wynosić nie więcej niż 5 km. Dotychczasowe gminy różniły się od siebie bardzo, zarówno pod względem obszaru jak i liczby ludności.

Celem reformy jest zbliżenie rad narodowych do ludności, czyli ściślejsze powiązanie administracji z terenem. Reforma jest wykonaniem na odcinku administracyjnym programu nawiązywania „łączności z masami", do którego kompartia przywiązuje ostatnio wielką wagę.

NIETAKT

Felieton „Trybuny Ludu" z 8 lipca rzuca pewne światło na stosunki w szkolnictwie krajowym. Do kierownika Wydziału Propagandy Komitetu Powiatowego PZPR w Gnieźnie, tow. Głowskiego, zgłosiła się ob. Walczakowa, krewna jednego z pracowników Komitetu, ze skargą na szykanowanie jej córki przez nauczycieli miejscowej szkoły, polegające na niedopuszczeniu tejże córki do egzaminu promocyjnego. Po zbadaniu sprawy okazało się, że Walczakówna, członek ZMP, miała aż cztery oceny niedostateczne, że lekceważyła zorganizowaną dla niej przez koło ZMP pomoc w nauce i że wreszcie matka, pomimo kilkakrotnych wezwań, ani razu szkoły nie odwiedziła.

Jak wobec tego postąpił tow. Głowski? Wezwał do siebie dyrektora szkoły, poleciwszy mu zebrać „całą dokumentację uczennicy Walczak". Dyrektor stawił się w Komitecie, lecz po godzinnym bezskutecznym wyczekiwaniu wrócił do szkoły, bo był to właśnie „gorący okres egzaminów promocyjnych". Tu jednak otrzymał ponowny telefon nakazujący mu stawienie się w Komitecie, tym razem łącznie z nauczycielami, którzy wystawili „uczennicy Walczak oceny niedostateczne". Dyrektor i nauczyciele pospieszyli więc do Komitetu, gdzie tow. Głowski wyjaśnił im, że „wszystko można zrobić, jeżeli się bardzo chce", można zatem skreślić niedostateczne oceny Walczakówny, tym więcej, że zostały one, jego zdaniem, zaakceptowane przez radę pedagogiczną „bez głębszej analizy". Obecne przy tej rozmowie matka i córka poparły tow. Głowskiego, zarzucając nauczycielom, że „uwzięli się" na uczennicę. „Jeszcze dziś — polecił tow. Głowski — zwołacie posiedzenie rady pedagogicznej, przeanalizujecie swoje poprzednie stanowisko i uczennicę dopuścicie do egzaminu".

Sprawa przypadkiem nabrała rozgłosu, przy czym okazało się, że tow. Głowski wydawał podobne zlecenia nie po raz pierwszy, m. in. w sprawie własnego syna. Wezwany do pierwszego sekretarza KP, przeprowadził samokrytykę, ale jedynie z tego powodu, że szkoła, do której uczęszczała Walczakówna, znajduje się na terenie miasta, a zatem nie Komitet Powiatowy, lecz Komitet Miejski powinien był sprawę załatwić. Tow. Głowski przekroczył swą kompetencję terytorialną, popełniając w ten sposób, zdaniem pierwszego sekretarza, poważny nietakt. Felieton wyraża się wprawdzie krytycznie o obu dostojnikach partii, nie informuje jednak, co się dalej stało.

WOJSKO

„Trybuna Ludu" zamieszcza, z okazji dziesięciolecia „Polski Ludowej", artykuły propagandowe Cyrankiewicza, Bermana i gen. Witaszewskiego. Tematem artykułu Witaszewskiego jest historia utworzenia „armii ludowej" w Polsce, knowań reakcji przeciwko tej armii i stopniowego opanowywania wojska przez komunistów. „Jeżeli w r. 1948 — pisze Witaszewski — odsetek oficerów pochodzenia robotniczego wynosił zaledwie 21 %, a pochodzenia chłopskiego 28 %, to obecnie mamy 50 % oficerów pochodzenia robotniczego i 33 % synów pracującego chłopstwa". Odsetek „synów pracującego chłopstwa" nie wzrósł wprawdzie zbyt znacznie, ale trzeba pamiętać, że ci wszyscy oficerowie zawdzięczają swój awans społeczny nowemu ustrojowi i że są zapewne względem niego lojalni. Ponadto — o czym Witaszewski nie wspomina — wyższe stanowiska dowódcze są obsadzone przez oficerów sowieckich. Ten stan rzeczy nie uprawnia do zbytniego optymizmu.

DZIESIĘCIOLECIE

Już na parę tygodni przed 22 lipca prasa krajowa rozpoczęła nawoływanie do współzawodnictwa socjalistycznego i zaciągania tzw. „wart produkcyjnych", donosząc o masowych zobowiązaniach robotniczych i chłopskich do zwiększenia produkcji. W Lublinie przeprowadzono z tej okazji roboty remontowe na dużą skalę, odświeżono główne ulice i zniesiono przybudówki wokół zamku. Komitet Frontu Narodowego wydał 21 lipca odezwę „do narodu polskiego z okazji 10-lecia Polski Ludowej", pełną zwykłych komunistycznych frazesów. W tymże dniu ukazał się w „Trybunie Ludu" obszerny artykuł Bieruta, poświęcony omówieniu osiągnięć politycznych i gospodarczych dziesięciolecia; artykuł ten był częściowym streszczeniem przemówień, wygłoszonych przez Bieruta na IX plenum KC i drugim zjeździe PZPR, niektóre wszakże jego ustępy zasługują na przytoczenie.

„W r. 1918 —pisze Bierut — Polska powstała dzięki rozbiciu przez rewolucję proletariacką imperialistycznych państw zaborczych — najpierw carskiej Rosji, a następnie kajzerowskich Niemiec i Austrii". Lenin, zawierając pokój brzeski, nie spodziewał się zapewne, że będzie on kiedyś uznany za zwycięstwo rewolucji nad Niemcami. „Zagarnięcie przez burżuazję polską części ziem ukraińskich, białoruskich i litewskich w latach 1918-1921 nie tylko nie wzmacniało siły ówczesnego państwa polskiego, ale — na odwrót — było jednym ze źródeł jego słabości". „Czerwoną nicią przebiega na przestrzeni wielu dziesięcioleci głębokie powinowactwo duchowe między rosyjskim ruchem robotniczym a polskim ruchem robotniczym..." Cały artykuł jest hymnem wiernopoddańczym na cześć Rosji, ale nie ma w nim ani jednej wzmianki o Stalinie. Trudno nie widzieć w tym dowodu czarnej, choć uzasadnionej obecnym kursem, niewdzięczności ze strony agenta zmarłego satrapy.

CHEŁM

Obchody rozpoczęła skromna uroczystość w Chełmie, pierwotnej siedzibie PKWN. Komitet ten przebywał w tym mieście przez dziewięć dni, od 21 do 30 lipca 1944 r. Tamże ukazał się słynny manifest lipcowy, odbity w małej drukarni w nocy z dnia 21 na 22 lipca przy świetle naftowej lampy. Miasto przechowuje dotychczas jeden z pierwszych egzemplarzy tego „historycznego dokumentu". Jest charakterystyczne, że prasa krajowa, wynosząc pod niebiosa ów manifest, nie wspomina nic o jego treści; treść manifestu, zrozumiała w ówczesnych warunkach politycznych, jest do tego stopnia sprzeczna z obecnym stanem rzeczy w Polsce i kursem politycznym kompartii, że każdy dygnitarz partyjny, który by wystąpił obecnie z podobnie „wiekopomnym aktem", podzieliłby co najmniej los Gomółki.

Uroczystość chełmska polegała na wspólnej sesji powiatowej i miejskiej rad narodowych, na którą przybył z ramienia Politbiura Chielchowski i wygłosił stereotypowe przemówienie.

AKADEMIA W WARSZAWIE

21 lipca odbyła się w Teatrze Polskim uroczysta akademia zorganizowana przez KC PZPR i Radę Ministrów PRL; obie te instytucje, partyjna i państwowa, występują ostatnio dość często wspólnie. Na akademię przybyli członkowie Biura Politycznego in gremio, członkowie korpusu dyplomatycznego, z ramienia sowieckiej kompartii marszałek Bułganin, którego zebrani powitali „długotrwałą gorącą manifestacją".

Akademię zagaił przewodniczący Rady Państwa, Zawadzki, po czym długi i wodnisty, jak zwykle, referat wygłosił Bierut. Określił on manifest PKWN jako „program rewolucyjnych przeobrażeń społecznych i zarazem pierwszy historyczny akt rewolucji ludowej". Kompartia w Polsce usilnie stara się wmówić w społeczeństwo, że władzę swą zawdzięcza rewolucji robotniczo-chłopskiej; trud, jak na tak niedawny początek tej władzy, dość niewdzięczny: w pamięci żyjącego pokolenia rocznica manifestu wiąże się nie z rewolucją, której nie było, lecz z wkroczeniem wojsk sowieckich do Polski.

Po Bierucie przemawiał jeszcze Bułganin na temat „wieczystej przyjaźni polsko-radzieckiej".

UROCZYSTOŚCI W LUBLINIE

22 lipca odbyła się manifestacja w Lublinie, zapoczątkowana defiladą oddziałów piechoty, wojsk KBW (bezpieki) i wojsk zmotoryzowanych, za którymi przeciągnęły przed trybuną komunistycznych notabli zrzeszenia sportowe i delegacje ściągnięte z całego kraju. Infatigable Bierut i tu wygłosił przemówienie. Lublin został odznaczony Krzyżem Grunwaldu I klasy, co w obecnym ustroju uchodzi za najwyższe odznaczenie państwowe.

Uroczystości na skromniejszą miarę odbyły się również w innych miastach Polski. Entuzjazm komunistów popsuła jedynie nieudana impreza ogni sztucznych w Warszawie. „Było nas chyba kilka tysięcy — piszą czytelnicy „Życia Warszawy" — i wszyscy mówili to samo: albo wcale nie robić pokazu ogni sztucznych nad Wisłą, albo zrobić to dobrze. Bo to co pokazano nam wieczorem 22 lipca zostało na poczekaniu ochrzczone występem pirotechników-brakorobów. Kilka pojedynczych rakiet wystrzeliło w niebo, po nich coś ze trzy razy przeraźliwie huknęło i po pięciu minutach było po wszystkim". To była mała chmurka na pogodnym niebie.

KONTROLA PARTYJNA W PRZEDSIĘBIORSTWIE

„Trybuna Ludu" poświęca obszerny artykuł wyjaśnieniu sprawy, na czym ma polegać kontrola przedsiębiorstwa przez podstawową organizację partyjną, przyznana tym organizacjom przez nowy statut partii. Zasadą niewzruszalną w zakładzie pracy — pisze autor artykułu — jest zasada kierownictwa jednoosobowego. Dowódcą w zakładzie pracy jest dyrektor i organizacja partyjna nie może wkraczać w jego kompetencje. Wolno jej jednak stawiać wnioski, wysuwać pomysły i okazywać wszelkiego rodzaju pomoc administracji zakładu. Ma prawo również domagać się sprawozdań od tej administracji.

Z takiego postawienia sprawy wynika, że organizacja partyjna jest tylko organem doradczym dyrekcji; wnioski jej, w imię zasady jednoosobowego kierownictwa, mogą być przyjęte bądź odrzucone; odpowiedzialność za zakład obciąża dyrektora.

Pogląd autora artykułu na tę sprawę jest jednak odmienny. Pisze on bowiem: „Tak samo jak dyrektor ponosi całkowitą odpowiedzialność wobec państwa za zakład — podstawowa organizacja partyjna ponosi taką odpowiedzialność wobec partii". Obciążanie organizacji partyjnej odpowiedzialnością za cudze decyzje wydaje się nielogiczne i stawia tę organizację w trudnym położeniu. Praktycznie jednak tak źle nie jest: dyrektor zakładu, który by chciał działać samodzielnie, mógłby natrafić na nieoczekiwane przeszkody. Autor artykułu przytacza przykłady. „Dyrektor naczelny FUM, tow. Nalepa, twierdzi, że ilekroć w swej pracy pominął organizację partyjną, tylekroć spotkał się z niepowodzeniem. Tak było z niektórymi zarządzeniami, o których wiedział tylko pion techniczny; nie poparte pracą wyjaśniającą wśród załogi — nie dawały zamierzonych wyników". Chcąc te wyniki osiągnąć, dyrekcja musi referować każde ważniejsze zarządzenie egzekutywie KZ i uzyskać jej poparcie. „Organizacja partyjna odgrywa kierowniczą rolę we współzawodnictwie socjalistycznym" — pisze autor — a wiadomo, że trudno jest wykonać plan bez uciekania się do „współzawodnictwa". Przewagę w kierowaniu zakładem ma zatem organizacja partyjna, ona faktycznie decyduje. Lecz cóż się wówczas dzieje z „niewzruszalną" zasadą jednoosobowego kierownictwa? Autor nie zastanawia się nad tą sprawą i nawołuje organizacje partyjne do walki o obniżenie kosztów produkcji, bez którego „niemożliwe jest podniesienie stopy życiowej mas pracujących". Obniżenie kosztów produkcji jest lajtmotywem prasy krajowej ostatnich miesięcy.

Ten mętny artykuł niewiele się przyczyni do usprawnienia działalności przedsiębiorstw państwowych w Polsce, lecz tłumaczy bałagan istniejący w tych przedsiębiorstwach.

KOSZTY PRODUKCJI

Z danych, jakie przytacza prasa krajowa, nie wynika, aby nawoływania do obniżenia kosztów produkcji odniosły pożądany skutek. Przemysł obrabiarkowy — informuje „Trybuna" — który w r. ub. wykonał plan tylko w 87.8 %, w ciągu pierwszych pięciu miesięcy r. b. podniósł wykonanie do 105,6 %. Cóż z tego, kiedy temu chwalebnemu wyczynowi towarzyszyło wydatne podwyższenie kosztów produkcji. Koszty te przekroczono w pierwszym kwartale r. b. o 10,6 %, co oznacza straty w wysokości ok. 9 milionów zł. „Zarząd Centralny — wyjaśniał główny księgowy FUM we Wrocławiu — kładł główny nacisk na wykonanie planów ilościowych, na wykonanie ich za wszelką cenę. Dlatego też głównie pod tym kątem oceniano zakłady, pozostawiając sprawę kosztów na uboczu".

W zakładach im. Strzelczyka w Łodzi koszty własne produkcji wzrosły w ciągu 4 miesięcy rb. o 11,4% w porównaniu z tym samym okresem roku ubiegłego. Dyrektor FUM w Porębie nie wiedział nawet, że jego fabryka wydała w I kwartale rb. o 3 miliony zł więcej niż planowano; Zakłady Mechaniczne im. 1 maja w Pruszkowie przekroczyły w tym samym okresie koszty zużycia materiałów o blisko 600 tys. zł, a fundusz płac o powyżej 550 tys. zł.

Dyrektor jednej z fabryk obrabiarek — pisze „Trybuna" — był niemile zaskoczony pytaniem, jak się przedstawia rentowność jego zakładu. Nie ma w tym nic dziwnego — rentowność jest dla przedsiębiorstwa socjalistycznego sprawą drugorzędną, gdyż zbankrutować ono nie może. Ambicją gospodarki socjalistycznej jest osiąganie imponujących wyników cyfrowych produkcji, od tych wyników zależy nieraz stanowisko i kariera dyrektora. Powoduje to dwa zjawiska: tzw. produkcję wartościową, bez uwzględniania jakości i asortymentu i wysokie koszty własne. A jednocześnie ciągle się powtarza, że obniżenie kosztów produkcji jest niezbędnym warunkiem szumnie zapowiadanego „podniesienia stopy życiowej ludności".

ŻNIWA

Prasa krajowa z lipca i sierpnia poświęca dużo miejsca przygotowaniom do żniw i przebiegowi kampanii żniwnej. Przygotowanie do żniw państwowych i gminnych ośrodków maszynowych (POM-ów i GOM-ów) wyglądało na początku lipca nie najlepiej. W posiadaniu POM-ów znajduje się, według „Trybuny Ludu", 15.000 traktorów, niemal 10.000 snopowiązałek, ponad 4.000 kompletów omłotowych i tysiące innych maszyn; GOM-y dysponują blisko 21 tysiącami żniwiarek, 11 tysiącami snopowiązałek i przeszło 22 tysiącami młockarni. Gotowość wszakże tych maszyn do pracy była na kilka dni przed początkiem żniw dość niska. Zaniedbano wyremontowania na czas traktorów, kombajnów i młockarni, tych ostatnich wyremontowano w całym kraju zaledwie 50%. W toku żniw okazywało się niejednokrotnie, że maszyny są niezdatne do użytku na skutek złej jakości. „Trybuna" podaje przykłady z województwa opolskiego. „W spółdzielni Wierzbica Górna... snopowiązałki dostarczone przez miejscowy POM, okazały się niezdolne do akcji. W spółdzielni Wierzbica Dolna... przez cały tydzień bez przerwy powtarzały się awarie maszyn... 9/10 czasu poświęcono na naprawy". „W spółdzielni Markotów... na 10 ha zebranego rzepaku 7 ha trzeba było powtórnie wiązać wskutek złej jakości sznurka do snopowiązałek... Skargi na sznurek powtarzają się w każdej spółdzielni..."

Narzekania prasy wywołuje również sprawa zawierania przez POM-y i GOM-y umów o pracę ze spółdzielniami produkcyjnymi i chłopami gospodarującymi indywidualnie. Umowy zawarte przed rozpoczęciem żniw ze spółdzielniami obejmowały 77,4% planu koszenia, z z chłopami indywidualnymi — zaledwie 8.285 ha. POM-y i GOM-y faworyzują spółdzielnie, zaniedbując gospodarstwa indywidualne. W pow. Oława (woj. wrocławskie) „kierownicy GOM nie chcą nawet rozmawiać z chłopami, nie przyjmują od nich zamówień na pracę maszyn, twierdząc, że maszyny GOM będą pracowały w okresie żniw wyłącznie w spółdzielniach produkcyjnych". Chłopi indywidualni zdani są zatem w wielu wypadkach tylko na własne siły bądź tzw. pomoc sąsiedzką, „choć — pisze „Trybuna" — ponad 70% ogólnej powierzchni zbóż znajduje się w indywidualnej gospodarce chłopskiej".

Zła pogoda wywołała znaczne opóźnienie żniw, które w połowie sierpnia nie były jeszcze zakończone. Do pomocy w zbiórce zbóż werbowano robotników i ZMP-owców. Urodzaj był jakoby dobry, choć dużo zboża położyły burze i deszcze.

ZAGOSPODAROWANIE ODŁOGÓW

II plenum KC PZPR, zebrane w dniach 2 i 3 lipca, powzięło tasiemcową uchwałę w sprawie zagospodarowania odłogów, zagospodarowania i lepszego wykorzystania łąk i pastwisk. Uchwała głosi, że w kraju jest jeszcze ok. 400 tysięcy ha odłogów i ok. 400 tysięcy ha ugorów oraz innych niedostatecznie zagospodarowanych gruntów. Powierzchnia łąk i pastwisk wynosi ponad 4 miliony ha, czyli przeszło 20% użytków rolnych; stan zagospodarowania tych łąk i pastwisk jest jednak nadal bardzo niski, należą one do najbardziej zaniedbanych dziedzin rolnictwa.

Uchwała ma na celu doprowadzenie do „zasadniczego przełomu w dotychczasowym stosunku do spraw gospodarowania ziemią". Przełom ten ma być osiągnięty zgodnym wysiłkiem PGR-ów, POM-ów, spółdzielni produkcyjnych i chłopów indywidualnych. Wychodząc z założenia, że jedną z przyczyn istnienia odłogów jest nieuregulowanie sprawy własności indywidualnej gruntów, uchwała poleca doprowadzić do końca uzyskanie przez chłopów aktów nadania i wpisania posiadanej przez nich ziemi do ksiąg wieczystych". Zapewnia ona ponadto spółdzielniom, przyjmującym do zagospodarowania odłogi, pierwszeństwo w przydziałach nasion, nawozów sztucznych itp., 15% dodatek do wynagrodzenia za pracę na odłogach i premie za wyniki produkcyjne. Podniety ekonomiczne dla chłopów indywidualnych wyglądają mniej konkretnie: mogą oni zawierać umowy o likwidacje odłogów na okres lat pięciu lub dłuższy, jeżeli zaś podejmą się uprawy odłogów zespołowo, tworząc w tym celu tzw. „zespoły uprawowe" czyli rodzaj spółdzielni produkcyjnej, będą mogli korzystać z ulg w obowiązkowych dostawach zbóż i z pomocy POM-ów na tych samych warunkach co spółdzielnie.

Podniesienie wydajności łąk i pastwisk ma nastąpić przez melioracje, nawadnianie i inne zabiegi techniczne oraz przez tworzenie tzw. „brygad łąkarskich" w POM-ach.

Uchwała II plenum jest dalszym ogniwem akcji podjętej w celu podniesienia wydajności rolnictwa, można wszakże wątpić, czy da spodziewane wyniki. Na wszystkich poczynaniach reżymu w dziedzinie rolnictwa ciąży grzech pierworodny kontyngentów i kolektywizacji. Ceny płacone chłopu za obowiązkowe dostawy zostały niezmienione (w Rosji je znacznie podwyższono), tempo kolektywizacji uległo raczej przyspieszeniu. Chłop nie ma interesu w zwiększaniu produkcji, gdy przyrost zabiera mu państwo po cenach nieopłacalnych, ani w zwiększaniu obszaru uprawnego, który prędzej czy później przejdzie na własność kołchozu. Nieraz porzuca ziemię, ograniczając się do uprawy tylko na własne potrzeby. „Kułacy — pisze „Trybuna Ludu" — często rozmyślnie wyniszczają ziemię uprawną, łąki i pastwiska, usiłują zbałamucić co ciemniejszych chłopów, ażeby odwieść ich od twórczej pracy". To co „Trybuna" przypisuje kułakom jest po prostu instynktownym oporem wsi.

PLAGA RACJONALIZATORÓW

Prasa krajowa nie szczędzi słów oburzenia administracji zakładów, niechętnie traktujących pomysły dostarczane setkami przez domorosłych racjonalizatorów. Że ta postawa administracji nie zawsze jest dowodem sabotażu, świadczy przykład „modelu oszczędnościowego" skarpetek, pomysłu Centralnego Zarządu Przemysłu Pończoszniczego. Skarpetki te mają cholewkę za krótką, by je przypiąć do podwiązki, a noszone bez podwiązek po kilku krokach wciągają się do buta, sprawiając, że ich posiadacz chodzi zamiast „w" — „na" skarpetkach. CZPP wyprodukował już dwa miliony tych „oszczędnościowych" skarpetek. Zalegają one obecnie w magazynach fabrycznych nie znajdując amatorów. Jest to swoisty sposób obniżania kosztów produkcji.

WYKONANIE PLANU GOSPODARCZEGO W I PÓŁROCZU 1954 R.

Komunikat Głównego Urzędu Statystycznego podaje, że plan produkcji globalnej przemysłu socjalistycznego w I półroczu 1954 r. wykonano w 102,8%. W porównaniu z odpowiednim okresem r. 1953 produkcja wzrosła o ok. 14%, wydajność pracy w przemyśle o ok. 9 %, a w budownictwie o 13 %. Spośród 16 ministerstw zajmujących się sprawami produkcji tylko Ministerstwo Przemysłu Mięsnego i Mleczarskiego nie dociągnęło do normy, wykonawszy 96% planu.

Z zawartej w komunikacie tabeli wynika, że najbardziej wzrosła produkcja maszyn włókienniczych, maszyn do szycia, statków morskich i penicyliny. Dość znaczny wzrost wykazuje również produkcja maszyn i urządzeń dla przemysłu rolnego i spożywczego, autobusów, wagonów towarowych, cukierków i czekolady, mniejszy — produkcja maszyn i narzędzi rolniczych, łożysk tocznych, obrabiarek do metali i motocykli. Są jednak i poważne niedociągnięcia. Nie wykonano planu w zakresie surówki i niektórych metali nieżelaznych, samochodów osobowych, maszyn włókienniczych (pomimo wzrostu produkcji o 205%!), łożysk kulkowych, kwasu siarkowego, azotniaku, cementu i cegły, tkanin wełnianych i obuwia skórzanego, mięsa i masła oraz — co nie mniej istotne — planu wydobycia węgla, tego najważniejszego produktu polskiego eksportu.

Jakość wyrobów przemysłowych — głosi komunikat — uległa pewnej poprawie; nie dotyczy to wszakże tkanin wełnianych, pończoch i obuwia, odbiorników radiowych, siewników zbożowych i innych maszyn rolniczych. W dalszym ciągu zatem cechą dominującą produkcji jest wykonywanie planów pod względem „wartościowym".

Nakłady inwestycyjne na rolnictwo wzrosły o 28%, na budowę urządzeń socjalnych i kulturalnych o 48%, na gospodarkę komunalną o 44%, na budownictwo mieszkaniowe o 10%, za to na remonty domów wydano sumę dwukrotnie większą niż w r. 1953; nie wydaje to dobrego świadectwa socjalistycznemu budownictwu. Obroty handlu detalicznego wzrosły o 18%, do czego się przyczyniła — zdaniem komunikatu — dwukrotna zniżka cen.

W dziedzinie obniżenia kosztów produkcji nie osiągnięto widocznej poprawy, budownictwo, hutnictwo i przemysł chemiczny przekraczają nadal znacznie normy zużycia surowców i materiałów.

W rolnictwie plan zasiewów zbóż jarych wykonano w 101%, uprawa pszenicy wykazuje wzrost o 8%, buraków cukrowych o 4%. Wzrosła również pomoc państwowa dla rolnictwa, ale jest nadal niedostateczna; komunikat ocenia krytycznie działalność POM-ów.

Liczba spółdzielni produkcyjnych na dzień 30 czerwca 1954 r. wynosiła 9.037.

Komunikat kończy się stwierdzeniem, że główne zadania postawione w uchwałach II zjazdu PZPR są wykonywane na ogół pomyślnie, choć praca szeregu ministerstw wykazuje poważne braki. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że od szeregu miesięcy prasa i uchwały partyjne nawołują bez przerwy do zwiększenia produkcji i poprawy jakości przedmiotów spożywczych oraz do obniżenia kosztów produkcji, to nawet ten umiarkowany optymizm komunikatu wydaje się przesadny.

ILUSTRACJE DO KOMUNIKATU

„Centrala Handlowa Przemysłu Skórzanego w Warszawie odrzuciła we wrześniu ub. r. całą partię 400 par półbutów męskich i 2,5 tysiąca par półbutów damskich stwierdzając złe ćwiekowanie, a przez to nieszczelność, liczne fałdy na powierzchni obuwia i zadrapania."

„Producent — Bydgoskie Zakłady Obuwia — przyjął zwrot, ukarał administracyjnie winnych brakoróbstwa i niedbałej kontroli. Okazało się jednak, że to nie pomogło. Pod koniec grudnia ub. r. Państwowa Inspekcja Handlowa w Krakowie kazała wycofać z rynku 1610 par półbutów męskich, 1550 par półbutów damskich i 1250 par półbutów dziecięcych o podobnych wadach."

„W dwa miesiące później PIH we Wrocławiu zareklamowała z tych samych przyczyn 790 par półbutów damskich. Bydgoskie obuwie reklamowały i inne hurtownie oraz detaliści. W sumie, w ciągu półrocza — od października 1953 r. do marca br. — zwrócono Bydgoskim Zakładom prawie 19 tysięcy par obuwia." Straty wyniosły ok. 4 milionów zł.

Wrocławskie Zakłady Dziewiarskie Nr 4 wypuszczały całą swą produkcję ze stemplem „I gat." Po zbadaniu 700 sztuk trykotaży wytworzonych przez te zakłady okazało się, że na 1000 sztuk zakwalifikowanych jako „I gat." tylko 40 odpowiadało tej kwalifikacji, 332 sztuki zaliczono do drugiego gatunku, 88 do trzeciego, a 534 sztuki uznano za w ogóle nie nadające się do sprzedaży, gdyż były dziurawe, miały spuszczone oczka, rozprute szwy i wykończone były niedbale.

Zakłady sosnowieckie wyprodukowały 34.281 sztuk kłódek odznaczających się tym, że wystarczyło uderzyć w bok kłódki dłonią, a skobelek puszczał. Stolarnia olsztyńska PZB dostarczyła Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie ram okiennym źle okutych i źle zespolonych, tworzących w oknach szpary i szczeliny do 12 mm szerokości.

Przykłady te czerpiemy z „Życia Warszawy". Inny przykład ze „Sztandaru Młodych". „6 tysięcy ton cementu straciło budownictwo warszawskie w ubiegłym roku na skutek „produkującej koszty" gospodarki przedsiębiorstw budowlanych. Wartość tego cementu — 670 tysięcy zł. W tym samym warszawskim budownictwie stwierdzono stratę 12 tysięcy metrów sześciennych drzewa o wartości 3 milionów 800 tysięcy zł." Przyczyną marnotrawstwa — oświadcza „Sztandar Młodych" — było niedbalstwo robotników w obchodzeniu się z materiałami. „Takich faktów oczywistych — dodaje pismo — jest w naszym budownictwie bardzo wiele".

Na kontrolerów produkcji spadają coraz częściej surowe wyroki sądów. Lecz „brakoróbstwo" trwa.

ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY
NIEDZIELA, 5 września 1954

NASZE SPRAWY

TRZY ORŁY

Polskie społeczeństwo emigracyjne było w ostatnim roku terenem dość znamiennej walki, rozegranej wprawdzie bez cienia tego rozgłosu, jaki towarzyszy walkom czysto politycznym, jednak bynajmniej nie pozbawionej znaczenia. Walka ta — dotąd nie zakończona i nie mająca zresztą widoków na to, by się naprawdę kiedykolwiek zakończyć — odbiła się głośnym echem także i na łamach ŻYCIA. Chciałbym dziś zastanowić się nad głębszą treścią tej walki.

Mówię o sprawie krzyża na koronie polskiego orła.

Na pozór chodzi o rzecz drobną. O drobne dwie kreski w rysunku naszego herbu, to znaczy o kilkadziesiąt włókien tkaniny sztandaru, o ledwo widoczne plamki i wypukłości na znaczkach pocztowych, monetach czy żołnierskich guzikach. A jednak ta drobna rzecz wcale nie jest drobna, bo chodzi tu o symbol, za którym kryje się zasadnicza treść. Symbol ten wyraża rzecz decydującą, mianowicie koncepcję Polski, pojęcie tego, czym Polska jest i ma być.

Dyskusja na temat krzyża na koronie orła toczyła się i toczy nie bez pewnej zaciętości. Zaciętość ta świadczy, że nie jest to dyskusja czysto akademicka. Czy naprawdę ci, co przypominają, że orzeł piastowski był bez krzyża na koronie i co twierdzą (niesłusznie), że krzyż na koronie orła ustalił się w polskim herbie dopiero w czasach saskich i stanisławowskich, naprawdę powodują się, walcząc o zdjęcie krzyża z korony, tylko pragnieniem [illegible] naszego orła do tradycji Polski z epoki jej wielkości? Czy naprawdę ci, co tłumaczą, że już orzeł zygmuntowski, a więc jagielloński, miał krzyż na koronie, powodują się tylko motywem historycznej ścisłości? Nie! Tu chodzi o coś całkiem innego.

Herb jest symbolem, przedstawiającym zjawisko, nim oznaczone. Biały orzeł na czerwonym polu oznacza i symbolizuje Polskę. Orzeł ten może być uzupełniony elementami, które symbolizują, przez kogo i w jakim duchu ta Polska jest rządzona. Na przykład orzeł zygmuntowski był opleciony literą „S" na znak, że Polską rządzi król Sigismundus. Orzeł stanisławowski miał na piersiach tarczę z herbem Ciołek, herbem rodziny Poniatowskich. Orzeł czasów saskich połączony był z herbem rodu Wettynów. Orzeł Królestwa Kongresowego umieszczony był na piersiach dwugłowego orła carów rosyjskich.

Orzeł piastowski był bez krzyża na koronie, ale to nie znaczy, że Polska nie była w owych czasach katolicka. Była z pewnością więcej katolicka, niż pod rządami sceptyka i masona Stanisława Augusta, który miał krzyż na koronie. Po prostu nie było w czasach piastowskich mody noszenia krzyża na koronie, tak jak nie ma dziś mody noszenia go na kapeluszu: nawet tak katoliccy władcy jak Salazar czy de Gasperi noszą dziś kapelusz bez krzyża. Natomiast w czasach nowożytnych korony królewskie bywają ozdabiane krzyżami, a w Polsce dwudziestego wieku sprawa krzyża na koronie orła stała się zewnętrznym wyrazem różnic i walk, dotyczących tego, czym ma być Polska.

Gdy skrajnie lewicowy rząd Moraczewskiego w 1918 roku zdjął koronę z głowy polskiego orła, oraz wywiesił na polskich gmachach państwowych czerwone i sztandary, było to demonstracją zerwania z tradycjami Polski historycznej. Jeśli społeczeństwo przeciwko temu protestowało (pamiętam manifestację uliczną w Kielcach, w której jako uczeń gimnazjalny brałem udział, usiłującą zerwać czerwony sztandar z Zamku), jeśli domagało się przywrócenia orłowi korony — było to demonstracją nawiązania do polskiej historii. Obrany w roku 1919 sejm przyjął w drodze ustawy rysunek herbu Rzeczypospolitej, z koroną na głowie orła i z krzyżem na koronie. Nie było to zwykłym widzimisię malarza, autora rysunku, ale było odpowiedzią na zdjęcie korony przez rząd Moraczewskiego, było formą deklaracji, że Polska, chociaż jest republiką, nawiązuje do wiekowych tradycji państwowych Polski królewskiej i że — w obliczu rewolucji komunistycznej u sąsiada rosyjskiego, zarówno jak na Węgrzech Beli Kuhna itp. — trwa niezłomnie przy wierze chrześcijańskiej.

Zdjęcie krzyża z korony orła dekretem Prezydenta Rzplitej w 1927 roku także nie było widzimisię malarskim, ale demonstracją. Często zapomina się o tym, że ten dekret nie tylko orłowi ujął, ale mu też i coś dodał. Dodał mu mianowicie — na skrzydłach — dwie pięcioramienne gwiazdy masońskie. Było to bez wszelkiej wątpliwości demonstracją, że zamiast prądu katolickiego rządzić odtąd mają Polską siły całkiem inne.

Nie należy znaczenia takich symbolów lekceważyć. Wprawdzie komunizm na pewno nie jest dziś kierowany przez masonerię; pięcioramienna gwiazda komunistyczna na czołgach sowieckich i zupełnie identyczna gwiazda na czołgach amerykańskich nie znaczyły, że Ameryka i Rosja wyznają — jak to głosiła propaganda Hitlera — tę samą ideologię. Ale był czas, gdy komunizm dopiero się rodził. Wpływ intelektualny prądu masońskiego stał u jego kolebki. Ten sam wpływ stał też i u kolebki rewolucji amerykańskiej. Wyrażało się to w podobieństwie symbolu, dziś wyrażającym całkiem różną treść. Ten sam symbol i z tej samej przyczyny [illegible] ozdobił skrzydła polskiego orła.

A w roku 1944 nastąpiła znowu zmiana symbolu. Komunistyczny Komitet Lubelski przywrócił orła z czasów rządu Moraczewskiego, zdejmując mu z powrotem koronę.

Nie uznajemy na emigracji komunistycznego orła bez korony. Ale czy mamy uznawać orła bez krzyża? Czas, byśmy zdali sobie z tego sprawę, że istnieją nie dwie, ale trzy koncepcje Polski — uosobione w trzech symbolach, jakimi są trzy orły. Orzeł komunistyczny, bez korony. Orzeł z gwiazdami masońskimi, w koronie, lecz bez krzyża. Orzeł bez gwiazd, z krzyżem na koronie. Te trzy orły oznaczają: Polskę komunistyczną. Polskę, należącą wprawdzie do obozu zachodniego w obecnym, światowym zmaganiu politycznym, ale laicką, materialistyczną, indyferentną religijnie, lub wręcz antykatolicką. I Polskę prawdziwą, tę samą od tysiąca lat: katolicką.

Ważne to rozróżnienie. Bo to nie dość obronić Polskę przed komunizmem. Trzeba uratować jej duszę także i przed innymi groźnymi dla niej wpływami.

To nie sztuka walczyć z komunizmem — na emigracji. Trochę trudniej jest walczyć tu z „zachodnim" stylem życia materialistycznego i areligijnego, z tutejszym indyferentyzmem religijnym, rozwodnionym, kultem pieniądza. A jednak — walczyć trzeba. Walka ta jest właśnie naszym zadaniem, nas, katolików na emigracji.

Pamiętajmy: symbolem naszym jest orzeł w koronie z krzyżem — i bez gwiazd. Symbolem, z którym w parze musi iść rzeczywistość życia.

POLONUS

Omyłki

„EPOPEJA STRZELECKIEGO"

W artykule B. Przeradzkiego „Epopeja Strzeleckiego" w nrze 31(371) ŻYCIA w łamie drugim wierszu 52 i 53 od dołu wydrukowano „dziewięcioletni okres", zamiast „dwudziestoletni okres".

„TOWARZYSTWO JASZCZURCZE"

W artykule B. Kleca Pilewskiego pt. „Towarzystwo Jaszczurcze" w nrze 32 (372) ŻYCIA w łamie 6, wiersz 1 od góry zamiast „mistrza inflanckiego Kerskoria" powinno być: „Kerskorfa".

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

SUKCES KSIĄŻKI LORDA RUSSELLA. Pierwszy nakład książki Lorda Russella of Liverpool „Scourge of the Swastika", który pojawił się w księgarniach dnia 19 sierpnia, został całkowicie rozprzedany w ciągu tegoż dnia. Nakład następny zapowiedziano na dzień 3 września.

Do powodzenia książki przyczyniły się niewątpliwie okoliczności, w jakich doszło do skutku jej wydanie. Jak wiadomo, lord kanclerz odmówił pozwolenia na jej ogłoszenie lordowi Russellowi, zajmującemu wysokie stanowisko w hierarchii sądowej, powołując się na to, że osobom pełniącym funkcje publiczne nie wolno wydawać książek o treści politycznie spornej. W odpowiedzi na to lord Russell złożył swą godność.

Książka ma olbrzymie powodzenie wśród publiczności, natomiast recenzje o niej są mniej przychylne, na co niewątpliwie wpływ ma obecna sytuacja polityczna, jak to już wynikało z cytowanego przez nas poprzednio komentarza „Observera".

„Manchester Guardian" w artykule redakcyjnym nie kwestionuje prawdy faktów, przytoczonych przez Russella, ale przeciwstawia je rzeczywistości sowieckiej, która jest nie lepsza, jeśli nie jest gorsza.

„Cóż nam mówi lord Russell o teraźniejszości? — pyta „Manchester Guardian". — Bardzo mało. Być może wykazuje on, że Europa Zachodnia kończy się na Renie. O czym jednak nam on nie mówi (i o czym, być może, nikt powiedzieć nie potrafi), to o różnicy w rozmiarach i intensywności między barbarzyństwem, jakie zna i jakie studiował, a barbarzyństwem, którego nie zna i którego nie mógł studiować, barbarzyństwem rozciągającym się od lasu katyńskiego aż do obozów niewolniczych pasa podbiegunowego... Być może bowiem, że nie same Niemcy, ale i cała Europa wschodnia oszalały (has gone made)".

Ostatni zwrot jest co najmniej osobliwy i krzywdzący dla narodów, zamieszkujących obszary, położone między Niemcami a Rosją, z Polską na czele jako największym z tych narodów.

W obszernej recenzji w „Sunday Times" Rebecca West wywodzi m. in., że zbrodnie tego typu, jakie popełniali hitlerowcy, są możliwe tylko w ustroju totalistycznym i są konsekwencją tego ustroju. W ciągu XIX wieku pewna liczba ambitnych osób wynalazła i rozwinęła technikę, za pomocą której mniejszość może uchwycić władzę w państwie przeciw woli większości przez wywołanie zamieszek wewnętrznych, manewry polityczne i propagandę. Technika ta została zastosowana w XX wieku, i to właśnie stało się w Niemczech. Mniejszość dorwawszy się do władzy, utrzymać się przy niej może tylko za pomocą gwałtu; ponieważ więzienia nie wystarczają, trzeba tworzyć obozy koncentracyjne. Gdyby Wielka Brytania popadła w ustrój totalistyczny, jakiś zagraniczny prawnik mógłby dziś napisać 280 stron na temat brytyjskich zbrodni wojennych, gdzie nazwy takie jak Beechwood albo Valleybridge miałyby podobne znaczenie, jakie dziś mają Buchenwald i Ravensbrück.

Nie trudno wykazać błędy w tym rozumowaniu Rebeki West, skądinąd doskonałej pisarki. Nie tłumaczy ona, dlaczego właśnie w Niemczech pojawiła się taka skrajna i okrutna forma totalizmu. Są kraje jak np. Portugalia, w których system totalistyczny daleki jest od hitlerowskich wynaturzeń; również reżym Franca w Hiszpanii mimo wszystko, co by mu można zarzucić, nie przybrał nawet w przybliżeniu takiej postaci, co stwierdzone zostało między innymi przez komisję, złożoną z b. więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych pod przewodnictwem D. Rousseta, która zwiedzała więzienia i obozy koncentracyjne w Hiszpanii.

Poza tym są przecież kraje, niedostępne (jak dotąd przynajmniej) dla amatorów na totalistyczną dyktaturę; należy do nich właśnie Wielka Brytania. W Niemczech zaś nie mniejszość — jakby wynikało z wywodów recenzentki — ale duża większość społeczeństwa popierała niewątpliwie reżym narodowo-socjalistyczny. Oczywiście nie oznacza to, by należało Niemcy uważać za kraj całkowicie w tym zakresie i na zawsze nieuleczalny, ale pewne tendencje są tam z pewnością o wiele silniejsze niż u większości innych narodów europejskich.

ŚWIAT JESZCZE NIEODKRYTY. W Australii czynione są przygotowania do wyruszenia oficjalnej ekspedycji, która by dotarła i zwiedziła tzw. „kraj Shangri-la", położony w niezbadanej dotąd zupełnie części Nowej Gwinei. Kraj ten wykryły po raz pierwszy w początkach bieżącego roku samoloty. Przypuszcza się, że zamieszkuje go ponad 100.000 tubylców; dostęp doń jest niezmiernie trudny z powodu przepaści górskich i dżungli, które go otaczają.

P. A. Roberts, dyrektor spraw tubylców w rządzie australijskim wyraził przekonanie, że jest to ostatni duży i zaludniony obszar Nowej Gwinei, który jeszcze pozostał do zbadania. Fotografie, zrobione z samolotu, wykazują, że tubylcy są doskonałymi rolnikami; na zdjęciach widoczne są duże obszary uprawionej ziemi. Tubylcy żyją we wsiach gęsto zabudowanych, złożonych z niskich kwadratowych chat.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

ÓSMY FESTIWAL EDYNBURSKI

W niedzielę, dnia 22 sierpnia rozpoczął się ósmy międzynarodowy festiwal muzyki i dramatu w Edynburgu. Program jego jest bogaty w dziedzinie muzyki, mniej za to interesujący w zakresie teatralnym.

Trzy wielkie zagraniczne orkiestry: „Statsradiofonien Orchestra" z Kopenhagi, „Orchestre National de la Radiodiffusion Française" i orkiestra symfoniczna z Hamburga uczestniczą w festiwalu, obok szeregu orkiestr brytyjskich.

Przez „Scottish National Orchestra", z towarzyszeniem chóru i zespołu solistów, wykonane zostało trudne dzieło Schoenberga „Gurrelieder", skomponowane głównie w r. 1900, ale wystawione po raz pierwszy w całości dopiero w r. 1913 i od tej pory bardzo rzadko pojawiające się na estradach koncertowych czy operowych. Tekst tego utworu, pisanego pod niewątpliwym wpływem wagnerowskiego „Tristana", oparty jest na poemacie pisarza duńskiego J. P. Jacobsena; jest to opowieść o miłości króla Waldemara do pięknej Tove i tragicznych następstwach tego uczucia. W programie znalazła się też rzadko grywana, niewielka opera Rossiniego „Le Comte Ory" w wykonaniu zespołu operowego z Glyndebourne; ten sam zespół daje przedstawienie „Cosi fan tutte".

Program teatralny obejmuje m. in. „Sen nocy letniej" i „Makbeta" Szekspira w wykonaniu „Old Vica", oraz „Le Bourgeois Gentilhomme" w wykonaniu „Comédie Française".

Jak corocznie, wszystkie ważniejsze koncerty i przedstawienia transmitowane są na cały kraj przez BBC.

OGÓLNOKRAJOWY POKAZ RADIOWY

W hali wystawowej Earls Court w Londynie odbywa się w dniach 25 sierpnia do 4 września br. dwudziesty pierwszy z kolei ogólnokrajowy pokaz radiowy (National Radio Show).

Na pierwszy plan, podobnie jak w paru latach poprzednich, wybijają się, oczywiście odbiorniki telewizyjne. Nie mniej niż 400 modeli czynnych jest bez przerwy, co pozwala każdemu zwiedzającemu na wybranie takiego odbiornika, który mu najbardziej odpowiada, przez porównanie z innymi aparatami, dającymi ten sam program.

Coraz większą popularnością cieszą się odbiorniki o długości fal od 10 do 1 metra, oznaczane obecnie literami VHF (Very High Frequencies), które nadają się specjalnie do komunikacji krótkodystansowej. Używane są one między innymi przez policję, ambulansy i straże ogniowe.

Listy

„TEORIE O POCHODZENIU I ROZWOJU ŻYCIA"

Szanowny Panie Redaktorze!

Byłbym niezmiernie zobowiązany za umieszczenie w Jego poczytnym piśmie paru poniższych zdań, wyjaśniających czytelnikom mej książki pt. „Teorie o pochodzeniu i rozwoju życia a naturalizm chrześcijański", że wątpliwości wysunięte w recenzji P. Prof. T. Felsztyna (ŻYCIE nr 29/369) znajdą całkowite rozwiązanie w części drugiej mej pracy poświęconej wyłącznie naturalizmowi chrześcijańskiemu.

Niestety jednak, wskutek najróżniejszych zajęć, trudno mi jest w tej chwili przewidzieć, kiedy ona będzie się mogła ukazać.

Jeśli chodzi o sfałszowaną szczękę (nie czaszkę) człowieka z Piltdown, w celu nadania czaszce bardziej prymitywnego wyglądu, a przez to utrącenia jednego z najpoważniejszych argumentów przeciw transformizmowi, dzięki uprzejmości P. Z. Kotkowskiego oraz wyjątkowym staraniom P. dr. Jelonka, zdołano jednak, już po złożeniu tekstu, umieścić w tej sprawie krótką notatkę na str. 157, odsyłacz 112.

W końcu też chciałem zaznaczyć, że użyte przeze mnie wyrazy, jak „molekuła", „selekcja" itp., znajdują się wszystkie w zatwierdzonej przez ministerstwo oświaty pisowni polskiej z r. 1949.

Proszę też przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy itd.

Ks. R. Zaniewski (Bruksela)

NAGRODA PISARSKA S.P.K.

Jury nagrody pisarskiej Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w składzie: prof. gen. Marian Kukiel (Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii), red. Ryszard Piestrzyński (Związek Dziennikarzy R. P.), dr Tymon Terlecki (Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie), mgr Stanisław Lewicki (Zarząd Główny SPK) pod przewodnictwem prof. dr. Stanisława Strońskiego (Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie) przyznało nagrodę SPK na rok 1954 po £ 50:

1) Profesorowi Wacławowi Lednickiemu (Uniwersytet w Berkeley, Stany Zjednoczone) za pracę w języku angielskim pt. „Russia, Poland and West";

2) Profesorowi Wiktorowi Weintraubowi (Uniwersytet w Cambridge, Stany Zjednoczone) za pracę w języku angielskim „The Poetry of Mickiewicz";

3) dr Jerzemu Pietrkiewiczowi (Londyn) za powieść w języku angielskim pt. „The Knotted Cord".

Zgodnie z uchwałą Walnego Zjazdu SPK w r. 1950, który ufundował nagrodę, jest ona przyznawana co roku za pracę literacką, naukową lub publicystyczną, ogłoszoną lub przedstawioną w rekopisie w języku polskim lub obcym, reprezentującą kulturę polską wobec obcych.

NOTATKI

NAJLEPIEJ redagowane pismo b. jednostek wojskowych, organ Związku b. Żołnierzy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich p. n. „Ku Wolnej Polsce" (redaktor Zygmunt Kotkowski) przynosi w nrze 24 z maja—czerwca b.r. następującą informację: „Na zjeździe Oddziału SPK W. Brytania... w imieniu Zarządu Głównego SPK odpowiadał sam prezes p. S. Soboniewski. Podał tylko dwie cyfry, dotyczące widowiska „Sursum corda": £ 300 wypłacono tytułem honorarium p. Marianowi Hemarowi i £ 150 p. L. Kielanowskiemu. Reszty cyfr nie podał, zasłaniając się brakiem pamięci."

Niewiadomo, co bardziej podziwiać: czy naiwność i lekką rękę Zarządu Stowarzyszenia Polskich Kombatantów czy wysokość wymagań poety i reżysera. Przeróbka Anczyca, która była treścią zeszłorocznego widowiska w dniu 15 sierpnia w Albert Hallu, należała do gatunku utworów, za które honorarium nie powinno być wyższe niż po 2/6 za godzinę pisania. Musiałby więc Hemar nad Anczycem pracować 2400 godzin, czyli mniej więcej okrągły rok roboczy z niedzielami włącznie, aby zarobić trzysta funtów. Reżyser musiałby ustawiać aktorów na scenie przez pół roku, aby zafasować swoją należność.

Ludziom poprzewracało się w głowie. Autor-emigrant może w ciężkim trudzie napisać i przygotować do druku tom prozy za kilka lat, w najlepszym razie za rok. Może za to, przy wielkim szczęściu, otrzymać honorarium w wysokości 50 funtów. Szczęściarz albo spryciarz wytarguje do setki. W radiu za słuchowisko autor otrzyma £ 30. Za książkę wydaną po angielsku autor polski otrzymuje przeciętnie od 100 — 200 funtów, oczywiście do podziału z tłumaczem.

A tu nagle za przeróbkę Anczyca, opatrzoną historiozoficznym komentarzem autora-poprawiacza — trzysta funtów! Ileż by musiał zarabiać sam ś.p. Anczyc, gdyby tak odżywszy zjawił się na emigracji? Oczywiście, wiadomo, że tak zwana podkasana muza, literatura rewiowa, kabaretowa, a nawet skromnie odziana muza widowiskowa, były zawsze uprzywilejowane wśród swych siostrzyc, gdyż ludek uwielbia takie pokazy. Bo to i muzyczka, i taniec, i sentyment, i humor. Ale ostatecznie wszystko ma swoje granice.

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów jest czołową instytucją społeczną na emigracji. Nie można zaprzeczać jego użyteczności ni licznych zasług. Ale do pieniędzy ma rękę nadzwyczaj szybką i lekką. Jeżeli Hemar i Kielanowski otrzymali od SPK £ 450, Albert Hall £ 100, jeśli koszta organizacyjne wyniosły £100, a wykonawcy (cały tłum aktorów) pobrali około trzech setek, tedy święto żołnierza kosztowało chyba z tysiąc funtów. Przecież za takie pieniądze można kupić dwa domy w Londynie! Prof. Dmochowski, zresztą laureat SPK, nie ma za co ukończyć swych monumentalnych „Dzieł architektury w Polsce", rękopis monografii o Czartoryskim gen. Kukiela pożółkł od starości — i na te rzeczy nie ma funduszów! Czy nie lepiej urządzić w dniu święta żołnierza amatorskie przedstawienie nieprzerobionego „Kościuszki pod Racławicami" za darmo i opatrzyć je odczytem fachowego historyka o Kościuszce, również za „Bóg zapłać", i wydać monografię o Czartoryskim „dla uczczenia święta żołnierza w r. 1953" niż napychać z tej okazji kieszenie obrotnych osobistości ze świata sceny i literatury? Frekwencja na amatorskim przedstawieniu w Albert Hallu byłaby z pewnością nie mniejsza niż na „Sursum corda", a sukces artystyczny, kto wie, czy nie większy.

Ale, „sursum corda", póki jeszcze mamy sumy włoskie. Sursum sumy, niech lecą z wiatrem!

J. B.

SPRAWA KORONY ŁOKIETKOWEJ

(Dokończenie ze str. 1)

Wreszcie wspomniana przez niego legenda o „zaginionej" i rzekomo ocalałej i przechowywanej dla króla polskiego koronacyjnej koronie, legenda, którą swoim autorytetem i urokiem podtrzymywał O. Wacław Nowakowski. Sam byłem pod jej wrażeniem, gdym w „Bibliotece Warszawskiej" (w r. 1911?) ogłaszał rozprawkę „Losy insygniów koronnych", opartą na wynikach dochodzeń austriackich z 1796. Wyniki te były stanowcze: zrabowali je w 1795 Prusacy. Ale — zostawiłem, jak Kopera, jak inni przede mną, jakąś furtkę dla legendy. Bo przecież O. Wacław nie mógł kłamać.

Jednakże o losach tej korony w ręku pruskim coś niecoś się wiedziało. Że pokazywali ją w skarbcu księciu Sussex (synowi Jerzego III) za jego paroletniego pobytu w Berlinie przed r. 1800; przymierzał ją i chwalił się potem przed Polakami (legionistami, Niemcewiczem, Czartoryskim), że był przez moment królem polskim. Niemcewicz koronę oglądał w r. 1792, z księciem Sussex się przyjaźnił, na pewno wypytał się go o szczegóły, a nigdy nie miał wątpliwości, że to była właśnie Łokietkowa.

Za Księstwa Warszawskiego nie było też wątpliwosci, gdzie szukać zrabowanych insygniów, upominano się o ich rewindykację. Ale Prusacy uprzedzili te próby. Korony pogruchotano, złoto poszło na stop, posprzedawano chyłkiem klejnoty; niektóre — dawniej już wyjęte — nosiła na naszyjniku i diademie królowa Luiza (co stwierdził m. in. późniejszy minister Feliks Łubieński). Wtedy też poszedł w handel „Szczerbiec" i znalazł się z czasem w petersburskim Ermitażu.

Cóż zatem z tymi skarbami, rzekomo przechowywanymi w Podkamieniu, a później Włodzimierzu i stamtąd potajemnie wywiezionymi? Przypuszczać można by jedno: że idzie o jakieś pamiątki królewskie, które ukrywał tam przejściowo Tadeusz Czacki z innymi cennymi zabytkami ocalonymi z Krakowa i, że dokoła tej — dość prawdopodobnej — rzeczywistości owinęła się bluszczem legenda, tak ludziom droga, że sama się wydała świętością nienaruszalną. Upór zaś O. Wacława wyjaśniono już błędnym zrozumieniem zapiski w kronice zakonu kapucynów.

Dzisiaj byłby już czas skończyć z tą legendą „zaginięcia", „ocalenia" i „ukrywania" korony, skoro mamy w ręku ogłoszone w doskonałej rozprawce Karola Estreichera dokumenty pruskie: tajny rozkaz królewski z 24 września 1795 nakazujący zabór insygniów i przewiezienie ich w największej tajemnicy do Wrocławia ze starannym zatarciem śladów; i raport gen. v. Ruets z 8 października, że insygnia już zabrane 5 t. m. po wyłamaniu sześciu okutych drzwi skarbca i żelaznej skrzyni i wyprawione do Wrocławia. Z innych dokumentów z 1835-6 wynika, że król pruski, Fryderyk Wilhelm III zainteresował się wtedy ich losem.*) Po dłuższych badaniach stwierdzono, że korony, już przedtem ogołocone z klejnotów, zostały na własny jego rozkaz z 18 czerwca 1811 zniszczone w Królewcu (wszystkie sześć, które były w skarbcu koronnym), a złoto i srebro z nich poszły do mennicy.

Rzecz jest jasna i species facti ustalona, informacje udokumentowane w tym wypadku tak ściśle, że nie zostawiają miejsca na dalsze łudzenie się co do ich losu.

Marian Kukiel

*) Jego zięć, Mikołaj I, dowiadywał się o koronę carską z czasu Zygmunta III, przechowywaną w skarbcu koronnym razem z polskimi.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno-Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2, England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godz. 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6 d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY: a) w krajach bloku sterlingowego: — Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) w krajach bloku dolarowego: — International Money Orderem lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: — do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przed. — £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — „Libreria Polaca", Av. Leandro Alem 641, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: „Vistula" (Australia) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz „Społem", 85, Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A.; BELGIA: Przedstawiciel — E. Kulakowska, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. - 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — Z. Kietlinska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — „Libella" Librairie, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile. Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — P. M. K., Schoramolenstraat 9, Breda. KANADA: Przedstawiciele — Canadian Mosaic Publishers, Suite 1, 4118, Western Av., Montreal 6; International Book Service, 57, Queen Street W., Toronto 1 „Radegast", 576, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man.; Prenumerata kwartalna $ 2.00; NIEMCY: Przedstawiciele: S. Mikielek, Seehammerstr 4, Bar. 16 B/2 (13b) München 54 oraz „Informacja Prasowa" — Postfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM.; NORWEGIA: Przedstawiciel: B. Łubiński, Fagerturveien 14, Bestun, ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: „Gryf Publications" — 615, Henry Street, Utica N. Y. oraz M. Kijowski — 13171, McDougall, Detroit 12, Mich, oraz J. Stojanowska, 424, Ave „E", Bayonne N. Jersey, oraz „Pomoc" — Export Import — 761, Fillmore Ave, Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwartalna $ 2.00. SZWAJCARIA: Mgr. A. Bocheński, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna frs. 5.00. SZWECJA: Przedstawiciel: Mgr. B. Kurowski — Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 Kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: Mme. Z. Bulhak-Jelska — via Salaria 300/c, Roma.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.